



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Jak można być szczęśliwym „nawet“ w małżeństwie.

Pod takim tytułem, który zdaje się sarkastycznym, ukazała się u nas książka, przełożona z angielskiego, lecz niech nie odstrasza on czytelnika, któremu przeciwnie radzić trzeba, aby zabrał się do czytania, jeżeli chce zapoznać się ze zbiorem dobrych rad i rozsądnych spostrzeżeń nad tem życiem we dwoje, które wytwarza człowiekowi małżeństwo. Tytuł ów znalazł autor w starym jakimś kazaniu i przywłaszczył go sobie, sądząc, że jest trafnie dobranym, bo gdy dwoje ludzi łączy się ze sobą węzłem takim, że wszystko między nimi musi być wspólnem — że dola i niedola jednego staje się dolą i niedolą drugiego, można tu znaleźć łatwo wśród róż i cierni, jeżeli obok miłości, łączącej dwa serca, nie postawi się na straży pewnych zapobiegających temu środków — pewnej mądrości, umiejętności życia, któryby pilnowała wzajemnej wyrozumiałości, wzajemnego dla siebie uszanowania.

— Małżeństwo — pisze autor — musi być szereg obustronnych ustępstw. Miłość (bo nie zdaje się on pojmować małżeństwa bez miłości) jakkolwiek gorąca, może prędko ostygnąć, jeżeli tem dwojgiem, tak ściśle złączonych ludzi nie będzie rządzić złote prawidło mądrości: znosić urazy łagodnie i przebaczać je szczerze... Trzeba też, aby pod tym względem szczególniejszą początki wspólnego pożycia były szczęśliwe, bo tak tu, jak w wielu innych sprawach ludzkich „dobry początek jest połową wygranej“. Aby przecieź osiągnąć to, należy, aby małżonkowie umieli zrozumieć i ocenić wartość szczęścia, danego im

przez takie połączenie się tkliwe — umieli pojąć co tu jest warunkiem trwałego zapewnienia go sobie, jeżeli potrafią je sobie wytworzyć.

Umieć się wzajemnie ocenić, poznać się wzajemnie na wartości swojej, nie przeceniając samolubnie wartości własnej, to krok pierwszy i konieczny w tym kierunku. Szczęście w małżeństwie jest niemal zawsze własnem naszym dziełem, ale osiągamy je wtedy tylko, jeżeli pozycie wspólne opiera się na ciągłej wymianie wzajemnie świadczonych sobie usług i więcej... ofiar! One to właśnie uszczęśliwiają — uszczęśliwiają obie strony: tę, która daje, i tę, która odbiera. Czuć, że dajemy szczęście drogiej nam istocie, jest już szczęściem dla każdego niesamolubnego człowieka, a myśl, że dokonywać tego możemy, podnosi w nas energią życiową, i autor angielski jest dobrym obserwatorem, skoro się tego dopatrzył w człowieku. Stara nasza piosenka: „Bez miłości trudno żyć!“ dowodzi tejsamej prawdy. Człowiek serdecznie osamotniony traci zapał i zdolność górnieszych porywów. Szlachetna jakaś idea zastąpić to jedynie może, ale wtedy tylko, jeżeli i w niej tkwi coś, co jest gorącą wiarą w jakiś drogi mu ideał, gorącą ideału tego miłością.

Ileż-to małżonek w rodzinach o tyle zamożnych, że żona nie jest zajęta pracą obowiązkową, nudzi się w domu i kaprysi, żąda od męża ciągłego przysparzania jej rozrywek, wrażeń przyjemnych, a gdy tego nie stanie, uważa się za nieszczęśliwą i mało kochaną! Niech przecieź naodwrot taka kobieta przejmie się pragnieniem wnoszenia przyjemności w życie męża, niech myśl o tem czuwa w niej: a nie będzie już pustki w jej życiu, bo zapełni je tkliwa troskliwość o ukochanego człowieka. W tem-to znaczeniu mówi autor: „Nie nie dasz, nie nie otrzymasz... Nie dźwigniesz niczyjego brzmienia, przywali cię twoje własne“.

Brak szczęścia w małżeństwie jest najczęściej

skutkiem zbyt wysokiego stawiania praw swoich, bez zwrócenia myśli troskliwej na obowiązki — na prawa przysługujące stronie drugiej. Czem samolubniejszym jest człowiek, tem mniej szczęścia dać i sam mniej otrzymać go może w tym związku, gdzie umiejętność szczęśliwego pożycia polega, nietylko na ustępstwach w zamian czynionych, ale i na ofiarach. Autor angielski kładzie też między warunki szczęścia małżeńskiego umiejętność czynnego okazywania miłości naszej — umiejętność zgodnego życia obok siebie. Trzeba przecieź na to opanować różne drobne wady swoje. Są one niby niewiele znaczące, ale że życie codzienne ma podstawę swoją w drobnostkach właśnie, mogą one je zatruć tak nam, jak i osobie drugiej, z którą je dzielimy. Zarówno mąż, jak i żona, powinni spalić w ogniu weselnych świateł wszystkie chęci samolubnego używania i wtedy jedynie mogą być szczęśliwymi *nawet* w małżeństwie ci, którzy to uczynili — pisze autor.

Ta zależność tak ścisła dwojga ludzi od siebie, byłaby przestraszającą, gdyby piętrzących tu się trudności nie wygładzała miłość, którą przecieź trzeba pielęgnować tak w sercu tem, które dla nas bije, jak i we własnem, bo straszna to jest rzecz, gdy ujdzie z jednego, czy z drugiego, gdyż wtedy trzeba spełniać przez ucziwość tylko, przez uczucie powinności to wszystko, co jest obowiązkiem miłości, ciężkim przecieź i trudnym, skoro już jej w sercu zbraknie.

Autor daje tu wiele rad, odnoszących się do owego pielęgnowania miłości małżeńskiej, a wszystkie są rozumne, wszystkie są dobre i praktyczne. Trzeba tak mężowi jak żonie być względem siebie nietylko tak tkliwymi, jak wtedy, gdy byli jedynie parą kochanków, ale i delikatnymi. Niech pragną zawsze tak zatłumiać w sobie wady charakteru, aby ujawnione nie raziły, bo trzeba im zawsze podobać się sobie nawzajem. Autor żąda jeszcze, aby żona chciała być zawsze ładną

i wdzięczną dla oka męzowskiego, aby — co jest rzeczą ważniejszą, ważną bardzo — dom, na którego czele stoi, mógł mu być miłym, przyjemnym miejscem przebywania. Gdy go świat i ludzie zmęczą, obowiązkowa praca poza domem utrudzi, niech tu znajdzie odpoczynek i odetchnienie krępujące, niech mu tu będzie ciepło, wygodnie i spokojnie. Gdzie tak nie jest, szczęście małżeńskie istnieje przestaje i wszelka radość życia ucieka od tych dwojga ludzi, których obowiązkiem jest ściśle ze sobą złączenie, niemożliwe przecież w podobnych okolicznościach i wtedy też związek ich ze sobą staje się pętami tylko — okowami okrutnymi.

Autor kładzie na to nacisk bardzo silny, że małżeństwo może być Edenem — rajem ziemskim, stworzonym siłą tkliwej miłości wśród tego ziemskiego świata, który jest pełnym trosk i trudów — ciężkich zabiegów o utrzymanie miejsca swego wśród tłumów ludzkich, i to jest właśnie, czego ludzie szukają w małżeństwie — w miłości. Człowiek, aby mógł istnieć szczęśliwie, potrzebuje mieć swój własny cichy kątek, nietylko dla odpoczynku po trudach. Potrzeba mu pociech, jakich nie dadzą obojętni ludzie, potrzeba mu jakiegoś oparcia się sercem o drogą mu istotę, i Mickiewicz snadź tak to pojmował, gdy w pobliżu Konrada umieścił pustelnicę — istotę ukochaną, która znalazła go jedynie w prawdzie uczuć i myśli, której miłość była mu też tak potrzebną wśród prób i trudów życia, jak to węzłowie, na którym robotnik spracowany opiera głowę w chwilach odpoczynku.

Dlaczegoż to miłość, nawet gorąca, bezinteresowna miłość, zamienia się tak często po ślubie w chłodną obojętność? Ludzie mówią, że mąż znudził się żoną, że żona nie kocha męża, jakkolwiek zdawało się, że idzie za niego z miłości, a przecież złożyły się na ten stan smutny owe drobne uchybienia, drobne niegrzeczności, których nie jeden, nie jedna, w rachunek brać nie umie, a które jednak działają, jak krople zimnej wody, sączące się powoli lecz ciągle, więc wprowadzające w stan ciągłego niezadowolenia. Jakich Amerykanin chciał zawiązać towarzystwo, żądające najpierw od stowarzyszonych, aby po ślubie zachowali względem siebie taką samą uprzejmą grzeczność w codziennych życia sprawach, jakiej trzymali się w tych czasach które zowiemy staraniem się kawalera o pannę. Dalej postawiony był zakaz, aby nie pozwalali najbliższym nawet krewnym, rodzicom, rodzeństwu, krytykować męża w obecności żony i naodwrot: żony wobec męża, a rzecz była pomyślaną bardzo rozumnie, bo często, często bardzo rodzina przez zyczliwość niby podkopyje szczęście małżonków, do których nikt — nikt już mieszać się nie ma prawa, bo nikt nie zdoła im oddać szczęścia, które nadwierzonym, a nawet utraconem, być może w ten sposób przez podburzenia na siebie ludzi, których przeznaczeniem jest, aby żyli obok siebie w niestygnącej nigdy miłości, bo wtedy tylko mogą być „szczęśliwymi nawet w małżeństwie“.

Czy małżeństwo podnosi człowieka jako obywatela, jako jednostkę towarzyską? Franklin pisał raz do miłego sobie młodzieńca: „Ciesz się mi to bardzo, że się ożenił i bardzo ci tego wieszczę, bo stanęłeś teraz na tej drodze, że możesz stać się pożytecznym obywatelem“. Bakon przecież zapatruje się na tę kwestyę z innej strony i sądzi, że dzieci i żona są dla człowieka wielkich przedsięwzięć jakoby zakładnikami losu, którego nie śmie on lekceważyć ze względu na nich. Przecież z drugiej strony możnaby tu powiedzieć że nieraz myśl o żonie, o dzieciach zwłaszcza, które oddzielają po nas nazwisko, oddzielają chwałę lub hańbę naszą, wstrzymywała człowieka niskich skłonności od podłego czynu, od pobierania zysków nieprawych, aby plama ciążyąca na jego imieniu nie plamiła jego dzieci i nie była im okrutną karą za jego nieprawę postępowanie. Autor, chcąc, jak zwykle, aby czytelnik wiedział co o danym przedmiocie sądzili rozmaici ludzie, przytacza tu cały szereg zdań rozmaitych za i przeciw małżeństwu; nasz Kochanowski, wtrącić tu należy, nazwał dobrą żonę koronę głowy męża, ale są ludzie, dla których na szali losu ważyło coś więcej, niż szczęście wła-

sne. Ci pragnący kroczyć drogą wysokiego poświęcenia się dla ludzkości: ofiarnicy i kapłani, kochankowie wielkich idei, pozostają samotni, aby oddać się mogli całkowicie temu powołaniu ich przez głos, który nie wszyscy słyszą, bo odzywa się on tylko do wybranych. Autor powiada też czytelnikowi, że w takich razach samotnienie się człowieka jest zasługą i godnością, którą ludzie uznać i uczcić powinni.

Ośmieszanie, lekceważenie starych panien jest też rzeczą najpierw niesprawiedliwą, a następnie złą, bo wskutek to tego zawiera się wiele małżeństw, niemogących uszczęśliwić: zwicha się los wielu kobiet, które pod naciskiem przesądu towarzyskiego unieszczęśliwiły się przez nieodpowiednio zawarty związek małżeński. Autor dobrze też zamyka kwestyę zwrotem do matek, żądając od nich, aby mówiły córkom, że chociaż małżeństwo zupełnie dobrane, oparte na miłości wzajemnej, jest niewątpliwie najszczęśliwszym stanem życia kobiety, niemniej obok wielkich pociech, wielkich błogosławieństw, któremi darzy, nie jest — nie może ono być wolnem od różnych prób ciężkich. I dodać im też trzeba — tym matkom tak objaśniającym córki młode — że kobieta niezamężna może mimo to być użyteczną i szczęśliwą. Jakkolwiek ominęło ją szczęście najwyższe życia kobiecego, czy to przez zrządzenie losu, czy wskutek jej własnej winy, jeszcze może ona zarobić sobie na inne uszczęśliwienie się środki — jeszcze może stać się pożytecznym członkiem wśród Ludzkości i narodu swojego.

Dwa pierwsze rozdziały stanowią jakoby wstęp książki, tworzący tło, na którym autor rozwija kolejno rozmaite swoje spostrzeżenia nad życiem w małżeństwie. Dowiódł on w pierwszym z nich że dwoje ludzi złączonych ze sobą węzłem uczuć przychylnych: miłości, przyjaźni, węzłem wzajemnego szacunku, nietylko może mimo tak ścisłego zespolenia się ze sobą, ciężaru węzłów swoich nie czuć, ale właśnie przez tę ich ścisłość osiągać szczęśliwość wyższą, po szczęśliwości trwałość doskonalszą, doskonalsze zespolenie się obojga. Dalej następują rady, jak to osiągnąć, jak zabezpieczyć się przed utratą, jak wreszcie z tego osobistego stosunku dwojga ludzi czynić jakoby służbę publiczną, instytucją dobra ogólnego. Nie wszystko opiera się tu na miłości, miłość jednak czyni autor najpewniejszą podstawą szczęścia małżeńskiego i, mówiąc ze smutkiem o małżeństwie opartem przeważnie na względach majątkowych, piętnuje je mianem zaprzędania się w niewolę dla względów używania, jakie daje majątek i pisze:

— W niejednym małżeństwie zawarłem dla [wiana, Pan młody kupiony, a panna — sprzedana!..

Dzieje się to przez fałszywe pojęcie szczęścia, przez oparcie go przeważnie na środkach dających używanie materialne, a jednak „Kupido jakkolwiek ma być ślepy, lepszym jest tu przewodnikiem, niżeli wszystkie reguły arytmetyczne“. Nie można się tylko zgodzić na zdanie autora, jeżeli zostało wiernie oddane w przekładzie: „W ogóle wszyscy fałszywie pojmujemy szczęście“ bo przecież on sam już nie jednocy go z używaniem, jak tego dowodzi, pisząc książkę swoją i stawiając przykłady wykazujące, że nie można nabyć szczęścia za pieniądze. Rotszyld odpowiedział gościowi, który zwiedzając dom jego urządzony z przepychem, unosił się nad jego szczęściem: — Ja!.. ja szczęśliwy?..

Bogacz amerykański, Jan Astor, wyraził się o ogromnych dobrach i przemysłowych zakładach swoich, że w zamian za trud zarządzania niemi otrzymuje „życie i ubranie“, co przypomina pewnego parobka z okolic radomskich, namawianego do małżeństwa z córką zamożnego gospodarza, nie przypadającą mu jednak do serca, który odpowiedział namawiającej go do tego pani ze smutkiem: „Chyba wedle wikt i opierunku!... A jednak i on, ten prostaczek na duchu, zapewne nie umiejący ani czytać, ani pisać, czuł że to nie starczy — że po za „wiktem i opierunkiem“ istnieją inne jeszcze potrzeby człowieka: inny głód, który trzeba zaspokoić, inne szaty, które trzeba

przyoblec, gdy wychodzimy na spotkanie szczęścia...

„Stokroć lepiej posiadać majątek w żonie, niżeli otrzymać go za żoną“ — dodaje autor. Kobieta, przynosząca mężowi wielki posag, przynosi zwykle wraz z nim nawyknięcia zbytkowne, które nieraz przeważają przez wydatki czynione to, czem go ubogaciła. Nie jest to nawet winą bogatej, że wydaje; jest do tego przyzwyczajoną i jeżeli niema w niej tego podnioslejszego ducha, który nad używanie materialne podnosi, będzie inaczej czuć się nieszczęśliwą i czy nie uczyni wtedy męża nieszczęśliwym także? Nawyknięcia mają nad nami moc wielką i tylko wyższe, szlachetniejsze istoty ludzkie umieją uczynić z nich ofiarę na korzyść droższych im warunków szczęścia, złożonego w skarbach serdecznych.

(Dokończenie nastąpi.)

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg.)

— Krasia, Krasia! — zaczęła ją z płaczem wołać Łucysia. Krowa poruszyła się rozpacznie, i wydała słabe mruczenie.

— Nie płacz! Będzie żyć, kiedy dotąd nie utonąła — rzekł do dziewczyny Kalenik.

Zrzucił świtę i wszedł do wody; za nim odważnie szła dziewczyna.

— Zmarzniesz. Siedź na brzegu! — burknął.

— Nie, już ja trzy razy przy niej byłam, tylko nie dałam sama rady! — odparła, szcękając zębami.

Weszli tak w wodę po pas, stanęli nad krową. Jeszcze resztki lodu niosła struga, a zimno tamowało oddech. Na brzegu Makuszanka lamentowała.

Kalenik otoczył krowinę sznurami, końce przez ramię sobie założył; skupił się, i począł ciągnąć ku brzegowi. Łucysia łeb Krasi utrzymywała nad wodą.

Parobek sapał i stękał, w pół zgięty, pracując jak dla siebie, zrobiło mu się ciepło nawet w tej wodzie lodowatej. Był pewny, że i Matwiej Huc siłacz wioskowy, nie dokazałyby tyle, i dumą go to napełniało wobec dziewczyny.

Włókł krowinę, sam ledwie mogąc wydobyć nogi z mułu, pobudzał go do nadszczęśliwych wysiłków, cichy dziękczynny szept Łucysi.

— Mój sokolyku, mój łabędziu. Daj tobie Boże wszystko dobre, że ty nas ratujesz!

Na brzegu stał już Sydor z wozem, ale nie kwapił się z pomocą; stał Kiryk i przyglądał się beczynnie.

Wydobył Kalenik z kobietami krowinę na suche. Leżała jak martwa, sztywna.

Podniesiono ją zapomocą dragów na wóz i Sydor popędził klacz.

— Padlinę przywieziemy do wsi — rzekł.

Wzmógł się płacz kobiet, który Kiryk przedrzeźniał.

Kalenik, skostniały, pobiegł przodem. Od przy-mroźka nocnego sztyniała na nim zmoczona bielizna, dzwoniły zęby, pot zamarzał.

Dopał chaty i prędko na piec się wgramolił.

Miejsce to pożądane zajmował chyba w nadszczęśliwych wypadkach. Był to tron gospodarza.

Dym tam był gęstszy, ale ciepło rozkoszne. Skulony na glinie, parobczak tajał i sechł. O zmianie bielizny wcale nie pomyślał. To należało do niedzielnych przywilejów. Para, upał i spokój powoli usypiały go. Wyciągnął się na gorących ceglach i zdrzemnął.

Zbudziły go szturhańce.

— No, czego ty tutaj!— wołał Sydor. — Taki byk będzie się na piecu wylegał! Nu, pójdziesz ztąd!

Parobczak zerwał się i oprzytomniał.

— A cóż krowa?—zagadnął.

— Nic jej nie będzie. Nu, lamentował ty wczoraj kogo wziąć do Perechreścia. Ot, Bóg da!..

Kalenik stanął już na ziemi, w środku izby, i milczał. Potem siermięgę narzucił i wyszedł.

Makuszanki krowinę wprowadziły do chaty, do ognia; okrywały ją własną, odświętną odzieżą, karmiły chlebem.

Krasia dawała się pieścić i jadła chciwie; spojrziała na Kalenika okrągłym swem okiem i wyciągnęła doń pysk.

— Dywy!—rzekł ze śmiechem—a to mnie poznała.

Łucysia przebierała się w ciemnym kącie, stara zaczęła go błogosławić i dziękować.

— Pobawcie chwilę. Nie mam co dać, to choć wódki z karczmy przyniosę!—zawołała wreszcie, i poszła z flaszką.

Dziewczyna wyszła z kąta w śnieżnej koszuli, rumiana, uśmiechniona.

— A świtka w naszej komorze! — zaśmiał się.

Wesołość jej znikła. Popatrzała na niego z przerażeniem.

— Albo to prawda ma być!—szepnęła.

— A jakże! Pojedziesz ze mną na sianokos.

— Z wami! O Jezu!—szepnęła.

— Tak jęczysz, jakby to niedola była.

— Mnie was tak straszno!

— Czego? Albo ja tobie liche słowo kiedy rzekł, albo uderzył? Durna ty!

— Mój Boże! Mnie się zdaje, że wy źle myślicie. Ja-by od was uciekła za lasy.

— Nie uciekniesz. A nie bój się. Czego się trzęsiesz?

— Dolo moja! Jak do Perechreścia pójde, kto tutaj we dworze za len odrobi, i za kartofle, i za siedzibę!

— Albo to tylko we dworze pole jest. Posiejesz u mnie, posadzisz kartofle. Odrobicie mnie!

— O Jezu! Kiedy mnie was tak straszno!

— Tfu! Narzucił tobie kto ten lęk. Chcesz ot patrz palec na palec składam i poprzyśięgnę, że tobie nijakiej krzywdy nie uczynię. Tak mnie Boże dopomóż!

Rzeczywiście palec na krzyż złożył i zaklął się uroczyście.

Dziewczyna przeżegnała się.

— Takt mnie lżej teraz będzie!—szepnęła, patrząc na niego przez lzy.

Zbliżył się do niej i, jedną ręką krowę gładząc, co ich rozdzielała, drugą po warkocz jej przesunął.

— Złoto moje! — rzekł zeicha. Żebyś ty choć bydła kilkoro miała, tobym ciebie wziął; żebyś choć szmatek ziemi miała, tobym do ciebie w *prystupy* szedł! Tak ja ciebie w serce wziął, tak mnie żenić się nie chce, choć muszę! Boh me! Będę ciebie lubić, będę ciebie szkodować, a niech mnie Bóg ciężko skarże, żebym cię, sierotę, miał ukrzywdzić.

— Daj tobie Bóg zdrowie!—wdzięcznie rzekła dziewczyna.

Makuszanka skrzypnęła drzwiami, więc umilkli, i pieścili Krasie faworytkę.

Kalenik poczuł w sobie wielką powagę i godność, jakby go starostą obrali. Łucysi biło mocno serce.

Stara przyniosła wódki i nalala parobkowi sporą miarkę. Wychylił — po nim kobiety, zagryzły chlebem. Wypili poraz drugi i zaczęli żywiej gwarzyć i śmiać się. Wódka zabarwiała im szarą dolę, mamila ciepłem, swobodą, dostatkami.

— Kalenik rozparł się na stole i głośno swe marzenia rozpowiadał:

— Żeby ja królem był, toby ja wszystką ziemię sobie wziął — pany-by mnie robili, a ja-by wódkę garncem pił a tłustość łyżką jadł — i w trzy kozuchy się ubierał.

Łucysia zaczęła śpiewać, zanosząc się od śmiechu.

Zaprowadźcie żywą wodę do sadu, do wisznio-

[wego.

Przyprowadźcie dobrzy ludzie mego chłopca

[miego.

Makuszanka rozsiadła się na ławie jak królowa i postawiła przed sobą butelkę:

— Teraz moja wola i dola!—wołała, machając rękami.

Niewiadomo, coby się stało po trzecim kieliszku, bo przy tem machaniu stara trąciła flaszkę.

Czarodziejski płyn rozlał się szeroką strugą na stół i na ziemię, i wszystkich to nieszczęście otrzeźwiło. Wlepili oczy w kałużę wódki. Łucysia zapłakała, Kalenik splunął — i czar przysnął.

Znowu byli biedni, nędzni, poczuli dokuczliwiej swe mozoły i ciężar żywota, i umilkli przygnębieni, oszołomieni.

Parobek wyszedł zgarbiony, leniwie wlokąc nogi ociężałe. Niezapłacone podatki, brak paszy, przednówek długi, koszt wesela, brak rąk w chacie — wszystko stanęło mu w myśli.

Szedł poza stodołami, wicher marcowy szumiał i siekł mu twarz niebo, od chmur zbałwanionych czarne; wisiało mu nad głową; w ciemności tej, gdzieś górą, niewidzialne ciągnęły gęsi dzikie. Krzyk ich, zmieszany z żalonym poświstem wiatru słyszał chłop. Leciały na Perechreście zapewne.

Tak idąc zamysłony, potraçał kogoś.

— Pochwalony Jezus—pозdrowił go poważny głos starego Huca.

— Na wieki!—odparł półgębkiem, spuszczać głowę.

— Jak wilk chodzisz nocą. Dawnom ciebie u siebie nie widział.

— Żebym żyto miał do zwrócenia, albo deski, tobym wstąpił, a tak — boję się. Pomyślicie, że znowu o co prosić będę. — rzekł Kalenik.

— Głupia dumka; Choćbyś i o co poprosił, to nie wstyd i nie grzech, byleś sam nie wziął.

— Nie, Boh me, nie! Ja *trus* — powtórzył swoje Kalenik.

— To dobrze. Dostę w chacie dwóch złodziei.

— Bodaj ich palarsz! — zamruczał parobczak.

— Prosić — nie grzech! — mówił dalej stary. Każdy prosi, najbogatszy i najszczęśliwszy, bo niema takiego na świecie, coby do Boga i dobrych ludzi interessu nie miał.

— Alboż Bóg jest? Starzy jego wspominają — może widzieli. Ja nie słyszał jego i nie widział.

— Durny ty całkiem!—rzekł lakonicznie Kornio, a parobek ani się obrazził, ani zaprzeczył.

Stanęli na podwórzu Huców. Gospodarz się odezwał:

— Wejdz, powiem tobie słowo!

W chacie wszyscy spali. Czekala na powrót starego lampka i Olenia Prytulanki, pilnując, aby wieczera nie wystygła; podała mu ją, i usiadła w kąci, zaspanemi oczami, przyglądając się Hubeni.

— Zapóźniłem się u pana!—mówił Huc, jedząc powoli. Codzień więcej roboty! — Co wasz chłopiec będzie robił latem?

— Bydło będzie pasł, jak *egzament* złoży.

— Taki wielki. Mogłaby dziewczyna bydło pędzić. Chłopiec ze starym daliby rady gospodarce, a tybyś mógł co zarobić. Zgódź się do dworu za rataja.

— Ja? Co wam się widzi? Miałbym swoje rzucić, a cudzego pilnować? Tfu! Z gospodarza na batraka iść!

— Albo to twoje? stryjowskie! Batrakiem ty daremny u niego służysz, a dosłużysz się nędzy. Zobaczysz!

— Jakże? Moje to! Statok (bydło), ja pohodował, choroby (budynki) postawił, pole robię. Na swoim ja pan.

— Horowanie, twoje panowanie. Patrzaj ja na twoją pracę, i dlatego żeś *czestny* i cichy żal mi ciebie. Ty myślisz, że ja ciebie obrażam? Nie,

ja tobie łaskę chcę zrobić. Miałbyś pieniądze i chleb.

— I niewolę!—przerwał parobek.

— Ino umarły—wolny!—poważnie rzekł Huc—ino rozumny—bogaty. A my wszyscy raby (nie-wolniki). Ja tobie dobre słowo mówię. Ty o sobie pomyśl sam, bo ty ni bat'ka, ni maty, ni żonki nie masz, coby za ciebie pomyśleli, a ty cichy i spokojny jak owca. Z ciebie runo kto chce zdejmie i gołego wyrzuci. Tak ja tobie mówię. Oddziel się od stryjów póki czas, póki to szczenie w wilka nie wyrośnie, a Sacharko nie wróci. Oddziel się i na rataja idź. Parę lat przesłużysz, zarobisz pieniądze, ożenisz się i obudujesz. Wtedy ciebie nikt nie wypędzi.

— Niech oni precz idą. Mój bat'ko starszy był, nasza to chata. Tyle lat ja pracował! Zostanę! My Hubenie, z rodu nie służyli panom gospodarzami umierali. Żeby wy mnie setkę rubłów dawali, nie pójde z cudzemi wołami na cudze pole.

Huc łyżkę odłożył i usta rękawem otarł.

— Nie, to nie. Twoja wola. Batraków dużo na świecie. Z dobrego życzenia ja tobie słowo rzekł. Pokaże czas: kto durny był. Idźcie i panuj, nieboże.

Kalenik wyszedł wzburzony. Nie sypiał w chacie teraz, gdy było ciepiej, ale przy wołach w oborze.

Otworzył skrzypiące wrota i omackiem trafił do siana, do żłobu.

— Moje wy rodzone, moje wy dzieci! — szeptał, podręcznego gładząc w przechodzie.—Potruję ja was prędzej, niżby kto drugi na was jarzmo kładł. Macie, jedźcie siano, jedźcie, wy mojej!

Potem się w to siano zagrzebał i zasnął, ale budził się często i ręką niespokojnie szukał wołów.

Roilo mu się, że je mu Huc zamienił.

Nazajutrz było święto.

Niebo na tę uroczystość wymiotło chmury, aż hen na skraj, nad bory; ubrało się w odświętny błękit, wiatr nie smagał, ale gładził, słońce odwiedziło mroczne głębie podwórza chat, zajrzało do izb czarnych i, jakby przerażone tem, co tam ujrzało, umykało coraz dalej i wyżej.

W chatach od wczesnego rana panował ruch uroczysty.

Uroczystość—bo to była rzadka, tygodniowego ochędóztwa. Myli się starzy i młodzi, dziewczęta i kobiety zaplatały warkocze, dzieci przemocą zanurzano w wodzie, wszyscy oblekali czystą bieliznę.

Chlebowym kwasem z dzieży pomyte włosy straciły wszelki pozór włosów, wyglądały jak peruki, ściśle głowę otaczające, szare płótno koszul zachowywało odświętną sztywność; kto posiadał buty, czernił je smarowidłem od wozu.

Inny, niż zwykle, gwar obejmował zagrody.

Były tam swawolne śmiechy dziewcząt, dowcipy parobków, krzyk dzieci, gospodyń długie rozmowy. Powszedni ranek tłumil te wybuchy koniecznością pracy; dziś rozwiązywały się usta — i namiętności.

Aż wreszcie w ten gwar wpadł pierwszy odgłos dzwonu, potem drugi, dziesiąty, setny.

To kościół wołał i przypominał, że nie trzoda są, że do ich dusz mówić będzie Bóg.

Na wołanie to ruszyli przodem starzy. Widać ich było zgarbionych, zapatrzonych w ziemię, jak szli powoli pojedynczo, w wielkich baraniach czapkach, i długich świtach, kijem się wspierając.

Z nimi ruszył Kornio Huc i, odchodząc, synów napędzał do pospiechu.

Ale ci jeszcze gotowi nie byli. Matwieja ubierała żona, kobieta ładna i kochana, jak matka, w chacie; średni Wasyl na żonę czekał, paromiesięczną swą córeczkę na rękę trzymając; Karpina elegantował się jako kawaler, któremu gody chodziły po głowie.

Prytulanka cesała Oleni ciemne włosy, zaplatając w nie pęk czerwonych tasiemek.

Stary sam ruszył, bo i do spowiedzi się wybierał. Przechodząc, zajrzał do Hubeniów. Dzieci wypędzały bydło na paszę.

Bose i obdarte, z torbeczkami przez plecy

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż dnia 12 Listopada 1890 r.

Pogody jesienne. — Otwarcie Izb. — Pierwsze wrażenia i pierwsze zwady. — Otwarcie zimowego sezonu teatrów. — Nowości „Deputat Leveau“, komedia p. Lemaître'a; układ i prowadzenie sztuki. „Kleopatra“ dramat pp. Sardou i Moreau. — „Moja kuzynka“ p. Meilhaca. — Wrażenie jakie sprawiają nowe sztuki. — Sara Bernhardt i sławny wąż Kleopatry. — Nieszczęśliwe współzawodnictwo. — Śmierć Alfonsa Karra. — Ochód stuletniej rocznicy urodzin Lamartine'a. — Nowe książki: „Jezus Chrystus“ Ojca Didon'a. „Historia Ludu Izraelskiego“ Renana. Nowe wydanie: *Paroles d'un croyant*, ks. Lamennais'go. — Dr. Gibier i nowy kierunek spirytyzmu.

(Dokończenie).

Wszyscy przyjaciele Margrabiego są wybrani — a zamieszanie z tego kompromissu wyborczego sprowadza najdziwniejsze niespodzianki. — Jakiś biskup przysłał swoje błogosławieństwo p. Leveau; a dziennik „Wolna Myśl“ winszuje Margrabiemu zwycięstwa. Ale ten obrót rzeczy staje się zgubnym dla skompromitowanego Leveau. Wielki radykał nie został wybrany. — „To pan triumfujesz w tej chwili“, — powiada on do Margrabiego. — „Raczej my, drogi panie!“ — odpowiada tamten. — „Te wybory są dziełem W-go Pana — i cały zaszczyt sobie należy!“

Ale zawiedziony Leveau wpada nakoniec we wściekłość, i w burzliwej scenie z Margrabiną wyrzuca jej fałszywe postępowanie i grozi zemstą. — Odetta się opiera, lecz Leveau żąda i nalega, aby mu naznaczyła godzinę schadзки tajemnej, w domu przy ulicy Boccador. — A kiedy zmuszona gwałtownością radykała, nieszczęsna przystaje na to; wówczas ten nędznik wyciąga z kieszeni list bezimienny napisany przez jego żonę i idzie go rzucić na pocztę. — Zasłona spada na tak pięknym uczynku.

W czwartym akcie jesteśmy na schadzce przy ulicy Boccador. Tu Leveau bez ogródki zapytuje Margrabinę: czy chce, lub nie, opuścić męża, i zająć przy nim miejsce i tytuł jego małżonki? — Margrabina kategorycznie odmawia, a im bardziej wzrasta wściekłość Leveau, tembardziej Margrabina pozostaje spokojną i słodką. Nakoniec Leveau wybucha i gotów już podnieść na nią rękę — jak mu to się zdarzało z pierwszą jego żoną. W tem słyhać dzwonek — to mąż! Zimny i surowy, oświadcza Margrabinie, że idzie z nią do rozvodu, i to w najkrótszym czasie. — Co zaś do pana Leveau, rozprawi się z nim wtenczas, kiedy się ukończą rachunki tej sprawy z Margrabiną. To powiedziawszy, wychodzi z godnością.

Wówczas Leveau z największym cynizmem wyznaje Margrabinie, że to on posłał ten list jej mężowi. — „Jesteś więc podłym człowiekiem“ — woła Odetta w najwyższym oburzeniu: — „Nie, moja pani. Wszakże twój mąż mógł mię łatwo zabić!“ I to w tej chwili Margrabina odchodząc, — rzuca te słowa, na których się kończy komedia: — „Czyż doprawdy mam kiedyś zostać panią Leveau?“

Nie mam zwyczaju zdawać wam tak obszernie sprawy ze sztuk przedstawianych na tutejszych scenach. Uczyniłem tu wyjątek ze względu na talent pisarski autora i aby was przygotować do ostrożnego przyjęcia tych pochwał, jakimi go osypały tutejsze dzienniki (*). Krytyk rozrządzający felietonem „Debatów“ jest to potęga, z którą miejscowi pisarze muszą się liczyć. Ten wierny obraz da wam miarę i jego wziętości — i tej sprawiedliwości, z jaką się tu wytwarza zdania literackie.

(*) Niewszystkie. Fr. Sarcey w felietonie „Temps“ z 20 Października wcale się nad sztuką p. Lemaître'a nie unosi. (P. Red.)

w których chleb na dzień cały niesły, szły za bydlęm ciche i zadumane. Przędowała Mokreńia, krocząc z powagą dorosłej osoby, włókl się za nią Sak nieodstępny. w koszulinie tylko, krąjącą podpasany, ciągnąc za sobą długi bat, którego jeszcze użyć nie miał siły.

Gdy dochodził wrót, zza węgła zaczajony Kiryk cisnął za nim ułamkiem kolka. Pocisk trafił chłopczyne w nogi, obalił. Upadł twarzą w błoto, tak wystraszony i znękany, że nawet głosu nie wydał z siebie. Zerwał się, obejrzał i uciekł naoslep, głucho tylko chlipiąc i utykając na skaleczoną nogę.

Bydło weszło w grzędawicę bezdenną ulicy wioskowej, a pastuszki za niem, tonąc po kolana. Stary Huc stęknął, jakby go ból porwał, i poszedł, pod stopy patrząc, bardzo chmurny.

Teraz za starymi ruszyły kobiety; gromadkami się kupiąc, jak gęsi białych stadka. Białe ich zawoje wiatr rozwiewał; gadały dużo, głośno, gestykulując.

Opowiadały sobie wśród śmiechów kłótnie małżeńskie, bijatyki, skandale wioskowe. Przechwalały się z razów, które otrzymały, jako z rzeczy do życia niezbędnej. Prawiły o gospodarstwie, o lnie.

Przed długi tydzień uwięzione pracą przy kominie i warsztacie tkackim, teraz językom swoim, jeśliśliwym i brutalnym, popuszczaly cugli.

Jeśli chwaliły cokolwiek, to tylko dzieci swoje. I tak partjami cała Hrywda ciągnęła do Boga.

Ostatnia ruszyła młodzież. Ciągnęły tabuny dziewcząt postrojonych w chustkach białych i czerwonych, w świtach czystych. Gromadki parobczaków łączyły się z niemi, wpadały na nie z boków, zaczepiając, zagradzały drogę niekiedy.

Tłok się czynił i szamotanie, wrzask nieludzki. Rozlatywali się jak wróbelki stadko, rozbijali na drobniejsze cząstki, ociągali się, kryjąc za węgły i płoty.

Nie kwapili się do Boga. Wiosna była dla nich, jak dla ptaków, okresem swawoli i miłości.

Kalenik szedł z Karpiną. Obadwa mieli zenić się po Wielkiejnocy, więc dziewczęta przepadały za nimi.

Szli też dumni, z czapkami na bakier, pozwalając się kochać.

Karpina za każdym węglem ścisnął coraz - to inną, zaczął każdą, droczył się, dowcipkował.

Hubenia rosłszy, bogatszy, znany ze statku i pracy, imponował bardziej.

Patrzyły na niego dziewczęta, szturhając się i szepejąc:

— Dywy, jaki on strojny, choć gospodyni nie ma, koszula jak śnieg, a jaka długa! Ktoś mu i ręk i płótna nie żałuje.

Rzeczywiście bielizna parobczaka naschwał była uprana. Zpod rozpiętej niedbale świty koszula świeciła białością nieskalaną, ściągnięta u szyi czerwona tasiemka.

On się nią chlubił, ręce za krasny pas zakładając. Onegdaj Łucysia mu ją tak ubieliła w rzece lodowatej po kolana stojąc i swemi rękami grube szmaty trąc, aż jej palce krwią spływały, aż ją w tym chłódzie pot oblał.

Zagadnęła go jedna z dziewcząt o to pranie.

Ramionami ruszył tylko, ale się nie pochwalił.

— Jest taka, co pierze — lakonicznie odparł.

Obejrzał się jednak raz i drugi i nagle przystanął.

Na ostatku, za całą wsią, szło troje ludzi.

Kalenik ich poznał i zdumiał.

Szli, kwapiąc się. Przodem stara Makuszanka za nią Łucysia, i chłop młody, śniady na licach, mizernie i ponuro wyglądający.

— Czyruków Tychon chodzi za Łucysią — zaśmiały się dziewczęta. — Chytra ona, na bohaterka patrzy!

Kalenik raz drugi się obejrzał. Tak, znachora jednak to był — bohater: mógł sierotę brać — albo mu pola, bydła, czy pieniędzy brakło!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dzięki gładkiemu pióru autora, sztuka nie upadła odrazu; ale jej trwanie na scenie nie dobiegnie końca sezonu: — to rzecz pewna... Jednym słowem: p. Lemaître nie jest to jeszcze żaden pra-prawnuk Arystofanesa. I zamiast spodziewanej politycznej komedii mamy tu dość płochą fabułę, w zgrabne osadzoną ramki...

Nie będę rozbierał, ani sławnej „Kleopatry“ p. p. Sardou i Moreau, która jest tylko, — jak tu nazywają tego rodzaju sztuki — czarodziejstwem wystawy (*une féerie*), a wcale nie drama — tem w znaczeniu, jakie my do tego przywiązujemy... Nie będę też rozbierał: „Mojej kuzynki“ Meilhaca, która, jako fabuła, jest jeszcze lichsza niż „Poseł“ Lemaître'a, z tym pogorszącym i gorszącym dodatkiem, że jest opartą na występach przeciw szóstemu przykazaniu... ale za to tak naszpikowana słówkami (*les mots*), że Paryżanie, którzy przepadają za tego rodzaju łakociami, trzymają się za brzuchy ze śmiechu, od początku do końca.

Ale, żeby użyć tej przyjemności, nie dosyć jest mieć pofrancuzku: trzeba jeszcze być Francuzem, a szczególnie Paryżaninem. Są tu tak subtelne odcienie, tak delikatne przytyki, że wielu rzeczy trzeba się domyślić i znać wiele tutejszych głupstw i stosunków. Meilhac jest członkiem Akademii Francuskiej, umie więc zrećźnie poczynać sobie z językiem. Niema tu, ani sytuacji, ani wyrażenia *de grubis* — nic, coby ci łopata kładziono do głowy. To też niedość, że ta sztuka, całkiem i nawskroś paryżka, nie da się przetłómaczyć wiernie, ale nawet nie można jej przedstawić na prowincjonalnej scenie z takim powodzeniem, jakiego doznaje co wieczór w Teatrze Rozmaitości w Paryżu.

A teraz — Kleopatra! Dekoracje, kostiumy przy oślepiającym oświetleniu elektrycznym, wystawa, przy pomocy wszelkich zasobów, jakimi rozporządzają tutejsze teatry — wszystko to jest prawdziwym czarodziejstwem dla oczu, nawet takich, które już wiele widziały rzeczy na bożym świecie. Tylko trzeba uczynić pewne zastrzeżenia, co do tej, niby arcy-prawdziwej dokładności archeologicznej, z jaką są skopowane kostiumy i całe przybranie sceny.

Zresztą, niewarto jest oto się sprzeczać. Mniej lub więcej dokładności nic nie znaczy dla tutejszej publiczności, która szuka głównie zabawy dla oka — i znajduje ją, jak mówiłem, w niesłychanym przepychu oświetlenia sceny i ozdób wszelkiego rodzaju. Autorowie również nie szukali bezwzględnej dokładności, ścisłości i wyrazu dalekiej starożytności. Ich Kleopatra jest to dzisiejsza wietrzniaka *high-lifeu* paryżkiego. I dlatego właśnie publiczność liczman ten przyjmuje za dobrą monetę.

Ta sławna scena, nad którą się oni tak unoszą, scena pomiędzy Kleopatram a Markiem Antoniuszem, nazywana *Maitresse scène*, jest to poprostu kopia tego, co się powtarza codziennie w zamglonych budoarach paryżkich. Inaczej to pojmował Shakespeare, który nie miał w swoje czasy pod ręką takich żyjących wzorów, jakie ma Sardou. — To też jego Marek Antoniusz i Kleopatra inaczej, w innych słowach, tłómaczą tę grę miłości starożytnego świata..

Ale tu, co głównie od pierwszego przedstawienia do-dziś-dnia zajmuje publiczność, jest to ten wąż przyswojony, żywy, który w ostatniej scenie wychodzi z koszyka kwiatów, aby wypełznąć na łono Kleopatry. Te chwile, tak wielkiej dramatyczności, gdzie każde poruszenie, każdy gest, każde słowo królowej powinny mieć tak straszne znaczenie i sprawić upragniony, stanowczy efekt, są zupełnie stracone dla publiczności; wszyscy zapominają już i o Kleopatrze i o Marku Antoniuszu, o Rzymie i o Egipcie; kto żyw wstaje, podnosi się, wspina na palcach i czeka gorączkowo chwili, kiedy przyswojony gad wypłźnie z kwiatów i zniknie na łonie Kleopatry.

Waż ten jest to największy, nie tylko aktor w tej sztuce, ale najpotężniejszy charakter dramatu — dla Paryżanów. Tak-to zawsze się dzieje, ilekroć zapomocą dziwnych i niesłychanych sposobów, chcemy obudzić zajęcie w publiczności. Cel ten osiągnięto. Teatr pełen

co wieczór, ochryplej Kleopatry-Sary niesłychać prawie, kassa pełna z czubem. — Ale największy efekt jeśli jest w istocie, jeśli Sara rzeczywiście jest na wysokości zadania, całkowicie stracony. Zgłupiały tłum przyklaskuje, niewiadomo: — plazowi czy artystce?

Daję wam tu moje wrażenia, tak, jak je otrzymałem w rzeczywistości. Nie wchodzę w rozbiór samego dramatu, bo przecież, choćby tylko w głównych zarysach, znacie tę sławną historią w starożytności, miłostek tryumwira Marka Antoniusza z królową egipską Kleopatą. Prawdziwym autorem widocznie jest pan Moreau, Sardou zaś wchodzi tu, mówiąc technicznym wyrazem francuskim, jako *Metteur au point*. Jego współpracownictwo ogranicza się do uregulowania wszystkiego tak, jak tego wymagała scena; a w czem długie doświadczenie uczyniło go prawdziwym mistrzem. Oprócz więc ogólnej kanwy, która jest mniej więcej zgodna z historią — reszta, to jest: dyalogi, sposób wyrażenia swych myśli, każdej z osób tego dramatu — nie ma nic wspólnego ze Starożytnością. Są to Francuzi, przebrani w dziwne, fantastyczne stroje, ale Francuzi duszą i ciałem — mówią więc i działają jako Francuzi; i dobrze robią: kiedy niema dokumentów dokumentnych, to już wolę, żeby to było prawdziwie pofrancuzku — nie zaś, jak to powiadają u nas: „zkiepska powęgiersku“. Tutejsza publiczność jest tegosamego zdania.

Nie myślę, aby ten dramat mógł być kiedy przeniesiony na waszą scenę. Wystawa tutaj kosztowała kilkakrotnie, a bez niej i bez takiej świetności niema co liczyć na efekt. Pieniądze więc będą pierwszą przeszkodą. Są przytem inne szczególne jeszcze — a na koniec ów wąż przyswojony! Przestać więc musicie na tem, co ztąd was o owej pani Kleopatrze doleci.

Należy się dziś wspomnienie pośmiertne jednemu z najznakomitszych pisarzy francuzkich naszego czasu — i obchód stoletniej rocznicy urodzin wielkiego zmarłego poety.

Alfons Karr umarł 30 Września w południe, w miasteczku zwanem Saint-Rafaël, we własnym swym domku, znanym pod nazwą: ogrodzonego domu (*Maison Clôse*); pomimo, że na kilka dni przed tem był już cierpiący, nie nie obudzało przecież obawy tak blizkiej śmierci.

Alfons Karr padł ofiarą własnej nieostrożności. We Wtorek 23-go Września, pomimo że gwałtowny uragan panował na całym wybrzeżu Prowancyi, pomimo wiatru i okropnej ulewy — nie mógł starzec dosiedzieć w swjej zagrodzie: Zdrow był, wyszedł więc do ogrodu z gołą głową i bez żadnej zwierzchniej odzieży, aby zająć się, jak zwykle, opatrunkiem i pielęgnowaniem ukochanych kwiatów.

Skończywszy robotę w ogródku, tak jak stał, wszedł do swjej łodzi i pojechał wyciągnąć wiecierze i tak zwane *palangry*, rodzaj długiej i mocnej wędy, bardzo ulubionej na owych wybrzeżach, następnie skończywszy z rybołówstwem, wrócił do domu przemokły do nitki. Dzieci, to jest córka i zięć, ostrzegali, aby się przebrał natychmiast, ale stary olbrzym nie usłuchał tej rady i pozostał w przemokłej nawskroś odzieży, ufając w swoję atletyczną budowę. Silny i czerstwy nad wiek, nie lękał się on ni wiatru ni burzy, nie troszczył się ani o deszcz ani o upał wielki. — A kiedy chciano mu dowodzić niebezpieczeństwa takiego postępowania w tym wieku, odpowiadał z uśmiechem: — „I czegoż mam się lękać? widzicież sami przecież, że mi się to nieźle udaje“. Mówiąc to myślał o swych osmdziesięciu dwóch latach, urodził się bowiem 24 Listopada 1808 roku.

Trzeciego dnia przecież po tych wypadkach musiał położyć się do łóżka — wystąpiło zapalenie płuc. Tym razem olbrzym znalazł groźnego przeciwnika, który go powalił. Przywołany lekarz potrafił powstrzymać postęp choroby, ale ta chwilowa nadzieja nie utrzymała się. Przyszła nagle komplikucya w formie paraliżu płuc, właśnie kiedy myślano wokoło chorego, że wszelkie niebezpieczeństwo już zażegnane.

Rano, 30 Września, Karr stracił przytomność zaledwie mógł rozpoznać córkę — wymowne zamgliły się oczy — napróżno siłił się przemówić

w tych głuchych dźwiękach zdawało się, że usłyszeli te ostatnie słowa: „Czuję, że umieram“.

Od tej chwili zaczęło się długie konanie i trwało do południa. O tej godzinie niezrównany autor „Os“ oddał Bogu ducha, otoczony rodziną, której skon jego pograżył w głęboką żalność. Rodzina ta składała się z córki, pani Leonowej Bouyer, jej męża i trojga ich malutkich dzieci, wnuków zmarłego.

Właśnie się to stało w czasie otwarcia nowego cmentarza w Saint-Rafaël; rada miejska postanowiła natychmiast, że Alfons Karr będzie pierwszy pochowany na tem nowem polu umarłych i nada mu nazawsze swe nazwisko. Cmentarz ma się nazywać „cmentarzem Alfonsa Karra“.

Zmarły pisarz był niezaprzeczenie, jak wiecie, jednym z większych pisarzy francuzkich XIX wieku. Syn biednego nauczyciela muzyki, Niemca, wychowany we Francyi, stał się Francuzem nawskroś, tak, że mógł śmiało być zaliczonym do potomstwa takich pisarzy, jak Voltaire, Champfort, Rivarol, a przy wesołej fantazyi miał ostre, jakby natchnione ironią, pióro i zachował na zawsze coś z germańskiego spokoju i głębokiej myśli.

Dnia 19 i 20 Października obchodzono w Mâcon, rodzinnem mieście Lamartine'a, stoletnią rocznicę jego urodzin. Cztery miejscowości, które niegdyś zamieszkiwał sławny poeta, były przedmiotem solennej pielgrzymki przedstawicieli rządu, akademii, oraz licznych wielbicieli poety.

Najpierwszą jest ulica Urszuliniek w Mâcon, przy której urodził się Lamartine, w domu naprzeciw więzienia. Po Mâcon idzie Milly, miejsce pobytu rodziny, gdzie pierwsze polityczne wyszeptali wyrazy; dalej Montuan, inna posiadłość wiejska, gdzie mieszkał i pisał, w dniach pełnej swej chwały, jako poeta i mąż stanu, a na koniec sąsiedni Saint-Point, gdzie się schronił w dniach ciężkich prób niedoli i zapomnienia, i gdzie spoczywa w kaplicy zamkowej ostatnim snem swoim, bez żadnego nagrobka i napisu, w nieśmiertelności swej — i gdzie możnaby słusznie wypisać te jego własne wiersze z Ody do Napoleona: „*Ici gît — point de nom, demandez à la terre* i t. d.

Chociaż los przeciwny, czas i ludzie, tu i tam, dokonali swego dzieła zniszczenia, była to głęboko wzruszająca myśl organizatorów tego obchodu: oprowadzić tę pielgrzymkę wiernych i niewiernych jego pamięci, w dzień jubileuszowy po śladach, któremi kroczył od kolebki nie znużony pierwca aż do grobu, do którego zstąpił jak prawdziwy poeta — biedny — i z piórem w skostniałem ręku.

Dwa ważne dzieła ukazały się na świat w tej chwili: „Jezus Chrystus“, Ojca Didon'a Dominikanina, sławnego kaznodziei, o którym tyle wam mówiłem w swoim czasie, w dwóch tomach — oraz trzeci tom „Historii ludu Izraelskiego“ przez E. Renana. Tom ten wyszedł pod specjalnym tytułem: *Les Anavim* i zawiera epokę od Ezechyasa do Niewoli Babilońskiej.

Oba te dzieła są zbyt ważne, abym dorywco dawał o nich me zdanie. Potrzebuję najpierw skończyć czytanie, a następnie powiem, jakie wrażenie sprawiły na mnie te piękne i wymowne karty dwóch pisarzy, którzy, chociaż na dwóch przeciwnych stoją biegunach, nie są może tak sobie przeciwni, jakby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka.

Zapiszę tu tylko, jak dziennik *L'univers*, zachowując stare tradycje L. Veuillot'a, poczęstował Renana z powodu dzieła Ojca Didon'a.

„Jeden z naszych reporterów, powiada, rozmawiał z p. Renanem o dziele Ojca Didona i pytał go: co o niem myśli? Jest to — odpowiedział Renan — dobrze napisane dzieło, ale daleko mu do mojego „Chrystusa“. Co za głupstwo — woła *L'univers* — a jak to dobrze charakteryzuje Renana!“.

Wyszły nanowo z druku u wydawcy Jouaust'a z przedmową Jana Larocque'a: *Les Paroles d'un Croyant* ks. Lamennais'go. Dzisiejsze pokolenie czytać będzie — nie mówię: czytać zaowu — bo i któż z ludzi końca tego wieku, zna i pamięta, te gorączkowe karty, te wymowne słowa wiel-

kiego myśliciela? Są one bardziej książką poetycznych natchnień idealisty, niżeli katechizmem zbuntowanego chrześcijanina, jakim był jej autor w czasie, gdy się raz pierwszy ta książka ukazała na świat.

Nie wiem: czy spirytyzm i jego manifestacje są dotąd jeszcze u was w modzie? Czy ołówki piszą? czy się stoły kręcą? i czy świat tak zwanej intelligencji i dotąd jeszcze się bawi, mając na zawołanie duszę pierwszego lepszego nieboszczyka?

Tutaj i ta psychologiczna zabawa z salonów przeszła w świat nauki — i choć w innej formie, i pod inną nazwą, jeśli nie bawi, to drażni i zaciekawia publiczność. Nie będę tu wam mówił o p. Charcot i jego doświadczeniach hypnotycznych w szpitalu de la Salpêtrière, bo na to potrzebowalibyśmy zbyt obszernych wywodów i objaśnień. Jest to zresztą gałąź uboczna experimentalnej fizjologii i nie ma nic wspólnego ze światem duchów i zjawisk czystego spirytyzmu. Pozostańmy więc na gruncie tych ostatnich i powiedzmy w jak nowej występuje tu roli..

Zeszłego roku, *in gratiam* wystawy powszechnej, zebrał się był w Paryżu Kongres spirytystów, czy „spirytów“, których podobno aż czterdzieści tysięcy zetknęło się ze sobą i policyło przy tej sposobności. Według panów spirytystów wyobraza to dwadzieścia milionów wierzących w ich naukę, a rozproszonych na całej kuli ziemskiej. Z tych dwanaście milionów przypada na obie Ameryki, Północną i Południową — a reszta zasiedla nasz stary kontynent, szczególnie zaś strefy północne.

A Paryż — ten Paryż, nasmiwający się ze wszystkiego, Paryż sceptyczny — ma posiadać aż sto tysięcy adeptów, których największą część należy do klasy oświeconej społeczności. Tak więc, codzień prawie można spotkać, na tym ślizkim bruku paryzkim ludzi, napozór ze zdrowym rozumem, praktycznych, ludzi przemysłowców, administratorów, ludzi nauki — którzy są spirytystami — z zawodu, z ołówkiem w ręku gawędzących z duchami.

Ale oto nowe zjawisko z tej dziedziny obudza uwagę publiczną. Dotychczas był to rodzaj towarzyskiej zabawy i tajemnych schadzek; dziś występuje spirytyzm, nie w kapeluszu, ale w doktorskim birecie na głowie, i przemawia, nie jak dawniej, *ad profanum vulgus*, do spirytystów, do chorych i cierpiących na głowę, ale do uczonych, do wątpiących *ex professo*, do szperaczów metodycznych, do obdarzonych krwią zimną, którzy ci wszelką prawdę przyjmą, nie inaczej, jak na końcu lanceta, albo na dnie retorty.

Doktor Gibier, członek Akademii Medycznej, w swojej książce: „Analiza rzeczy — próba przyszej nauki“, tak się wyraża: „Można mieć materialne dowody istnienia duszy“ i kończy temi słowy: „to jest czego dowiodę jasno“.

W poprzednim swem dziele: *Spirytyzm albo Fakiryzm Zachodni*, dr. Gibier, znany chlubnie swych prac naukowych, szczególnie we względzie wściekliczny, wyłożył całą część historyczną tej dziwnej sprawy spirytyzmu; teraz przechodzi do samej teoryi.

Metoda jego jest czysto-doświadczalną. Posługuje się uczony głównie objawem fizycznym, materialnym, a więc nieulegającym wątpliwości, tym właśnie, który objawom spirytów służył za dowód obecności duchów umarłych.

Wszystkie te doświadczenia, których żaden z uczonych nie przepuścił bez ruszenia wzgardliwie palcami, nie raczył poddać jakiejby próbie, na które nie potrafiły sięciągnąć uwagi poważnej — doświadczenia wykonane przez jednego z najuczeńszych Członków Królewskiego Londyńskiego Towarzystwa (Royal Society of London), sławnego Williama Crookes'a — doktor Gibier poddał swym poszukiwaniom, jedno po drugim, bez wyjątku.

Zapomocą medyum widział on walczące stoły, rozmaite przedmioty zmieniające miejsca, bez żadnego widomego dotknięcia ręki ludzkiej, lub zawieszzone jak puch w powietrzu, widział ołówki włożony pomiędzy dwie tabliczki łupkowe, piszący jakgdyby był zupełnie wolny — słowem: zadowolający, ale już znane rzeczy.

Dr. Gibier czynił tu doświadczenia w biały dzień, w przytomności uczonych kolegów i ludzi obojętnych. Trzymano za ręce i za nogi medyum, którego ruch najmniejszy sledzono badawczem i niedowierzającym okiem. W takich warunkach podstęp był zgoła niemożliwym — wszystko to przecież działa się zapomocą siły, która nie była ani mechaniczną, ani ślepą, zapomocą siły inteligentnej, która słucha, rozumie i raczy, manifestując się, wykonać żądanie jakie się jej postawi.

To też dr. Gibier twierdzi spokojnie, że: „prawda jest następną: Intelligencya istnieje, poza granicami materji, takiej, jaką pojmujemy zwykle, i raz jeszcze wyznając, że nie jestem wcale nowożytnym *spirytualistą* (tak!), utrzymuję i twierdę, że wszystkie fenomeny duchowe (spirytualne), wyjąwszy teorią tej nazwy — są absolutną rzeczywistością“.

Dr. Gibier nie przypisuje wcale tych fenomenów interwencji nieuniknionej umarłych — ale sile istniejącej w naturze, świadomej siebie samej, dotąd nieokreślonej jeszcze, niematerialnej — która jest duszą. — Różnica wyraźnie wskazana pomiędzy ciałem i duszą — potwierdza to przypuszczenie Dr. Gibier, iż zdoła on sprawdzić *de facto* ten rozdział duszy i ciała, zapomocą hypnotyzmu, którego stan postępowy: katalepsy, uśpienia, jasnowidzenia i extazy, będzie tylko szeregiem objawów, następujących jedne po drugich, które przebywa obdarzony należytą czułością pacjent, w miarę jak dusza jego opuszcza ciało i uwalnia się z więzów materji. Według Dra. Gibier dojdziemy w ten sposób do ostatniego stanu, który będzie absolutnym zdwojeniem osoby: z jednej strony ciało martwe, z drugiej dusza wolna. Ale stan ten, przedłużany nierozważnie, zbyt znacznie, spowoduje śmierć organiczną.

Nie potrzeba chyba twierdzić, że Dr. Gibier ma przeciwko sobie prawie wszystkich swych mistrzów i kolegów, którzy cenią go jako lekarza i uczonego człowieka, ale odmawiają mu swego poparcia, dla tych oto jego teorii.

Jakkolwiekby ta wyprawa młodego uczonego lekarza francuzkiego na odkrycie na odszukanie duszy — jest strasznie ponętną.

Jeżeli tak jest jak on myśli, czyż się lękać należy, że te systemata są tylko wielkim ciągiem następstw błędów, którym my nadajemy pocieszający tytuł prawdy? To powiedzmyż z góry, że wszelka teoria jest jedynie o tyle wartą, o ile przynosi z sobą natychmiast zastosowany pożytek dla społeczeństwa, zapomocą dobra, które wytwarza i ogłasza.

Dusza nieśmiertelna sama tylko pozwala nam tłómaczyć i twierdzić, czego pojąć nie możemy, i mieć nadzieję otrzymania tego, czego nam brakuje. Stójmy więc pilnie na straży jej nieśmiertelności — słuchajmy co mówią o tem mędrcom tego świata... ale, wierzy tylko w Boga.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Nerwoból (*neuralgia*).

Wszelkiego rodzaju wrażenia, począwszy od zadowolenia, radości, aż do najgwałtowniejszego bólu, cała gamma uczuć zarówno przyjemnych jak i nieprzyjemnych rozwija się za pośrednictwem bodźców zewnętrznych, które przez nerwy działają na siedlisko naszych władz duchowych. Nerwy zatem stanowią rodzaj przewodników, będących łącznikami między światem zewnętrznym a naszymi centrami nerwowymi: mózgiem i rdzeniem kręgowym, w których nabieramy świadomości o otrzymanych wrażeniach. Każdy bodziec, podziaławszy na owe przewodniki, wywołuje wrażenie, bądź-to przyjemne bądź nieprzyjemne. Do pewnego stopnia wszelkiego rodzaju bodźce sprawiają nam przyjemność, sto-

pniowo dochodzącą do najwyższego zadowolenia; wzmożone zaś bodźce, przekraczające ową granicę, wywołują uczucia nieprzyjemne, które mogą zamienić się w ból. Głaskanie skóry np. sprawia przyjemne wrażenie, silne uciskanie spowodowuje ból; harmonijne dźwięki — muzyka wywołuje przyjemne uczucie w organie słuchu, przeraźliwy krzyk sprawia nam przykrość.

Działanie bodźca na nerwy sprowadzając ból, niezależy tylko wyłącznie od jego natężenia, lecz także od wrażliwości systemu nerwowego, która u różnych ludzi okazuje się różną. Podobnie jak niektóre osoby posiadają nadzwyczaj delikatny zmysł smaku lub powonienia, tak że odczuwają smak i zapach, których inne osoby wcale nie rozróżniają, podobnie delikatna kobieta dozna silnego bólu pod działaniem bodźca, który np. dla chłopca nie stanowi wcale nieprzyjemnego uczucia. Skutkiem stanów chorobowych cały systemat nerwowy, albo przynajmniej część jego nerwów czuciowych, podlega może tego rodzaju *nadczułości*, że nawet bardzo łagodne bodźce sprawiają dotkliwé bóle.

Nerwobóle zatem powstawać mogą z różnorodnych przyczyn. I tak, przyczyną może być stan chorobowy w samym zakończeniu nerwu, w jego punkcie wyżej znajdującym się, w rdzeniu kręgowym, w mózgu, albo nawet skutkiem bodźca, działającego na zupełnie inny nerw, z którego za pośrednictwem ośrodków nerwowych jako ból reflexyjny (zwrotny) przechodzi na daną gałązkę nerwową. Przytem zaznaczyć potrzeba, że często dzisiaj napotykaną „nerwoból“, nie został jeszcze naukowo dostatecznie wyjaśnionym, i zarówno pod względem przyczyn, jak i sposobów leczenia go jeszcze dużo pozostaje do zrobienia.

Jednym z najczęstszych nerwobólów jest *twarżowy*, mieszczący się w rozgałęzieniach t. z. nerwu trójdzielnego. Ból ten, dochodzący niekiedy nadzwyczajnego natężenia i trwający bardzo długo, objawia się po największej części napadami, wstępującymi w różnych odstępach czasu i o różnym trwaniu. Raz ból tego rodzaju trwa tylko parę minut, kiedy indziej kwadrans, godzinę, albo nawet znacznie dłużej. Odczuwanie go miewa rozmaity charakter: świdrujący, kłójący, palący, szarpący, strzelający i t. p. Zazwyczaj ból rozchodzi się z jednego stałego punktu po gałęziach nerwowych do oka, twarzy lub szczęki dolnej, a nawet i dalej na okolice karkową, ramieniową lub piersiową. Przytem natężenie dochodzić może takiego stopnia, że chory krzyczy, rzuca się jak szalony, uderza głową o mur, pada na ziemię, wzbudzając powszechne współczucie i litość w otaczających. Nierzadko towarzyszą bólowi twarzowemu zaburzenia zmysłowe: oczy nabiegają krwią, bystrość wzroku zmniejsza się, choremu biegają muszki i iskry przed oczyma, łzy płyną obficie, słuch bywa przytępiony, występuje szum w uszach nadzwyczaj przykry i męczący; nawet zmysły smaku i powonienia nie funkcjonują prawidłowo, a w nosie doznają choroby niezwyklej suchości. Jako powikłania pojawiają się bardzo często w mięśniach twarzowych drgania i kurcze, zaczerwienienie i obrzęknięcie dotkniętej połowy twarzy, wysypka na skórze a owrzodzenia na błonie śluzowej jamy ustnej i przedstawiają natenczas smutny obraz cierpienia człowieka, jaki nie tylko przez rozbijała fantazją może być wymyślonym. Nic więc dziwnego, że tego rodzaju choroby, nie tylko cieleśnie cierpią i przedstawiają nadzwyczaj smutny widok, ale zapadają także na umysł, życie im obmiera, że nierzadko ci nieszczęśliwi sami zrywają łańcuch przykuwający ich do ziemi.

Tego rodzaju ból twarżowy, który w najwyższych stopniach rozwoju prowadzić może do tak smutnych ostateczności, bierze początek z rozmaitych powodów. Czasami przyczyną jego może się stać przeziębienie, wydarzające się głównie w czasie zmiennej pogody, a więc na wiosnę i w jesieni. Ząb spróchniały bywa bardzo często także powodem bólu nerwowego. Dalej spowodować go także mogą zranienia gałązek nerwu twarżowego. Pojawia się ból ten nierzadko po przebyciu przez organizm ciężkich chorób, po znacznych wycieńczeniach, obfitych krwotokach, a także po nadmiernych wysiłkach cielesnych,

jak i umysłowych. Niekiedy przyczyną cierpienia, o którym mowa, mogą być przewlekłe stany chorobowe, takie, jak niedokrewność, bladaczka, a także zaburzenia w przewodzie pokarmowym.

Również częstym bywa *nerwoból kulszowy* czyli *scyatyka* (*ischias*), mający swe siedlisko, jak to nazwa wskazuje, w nerwie kulszowym i jego rozgałęzieniach a więc w nerwach, zasilających kończynę dolną. Ból ten bywa, po największej części, ograniczony do pewnych stałych punktów a zwiększa się przy poruszaniu i podczas spoczynku nocnego. Co do przyczyn scyatyki, dotykającej przeważnie ludzi będących w średnim wieku, częściej mężczyzn niż kobiety, to i one bywają różnorodne. Powierzchnowe położenie nerwu kulszowego sprawia, iż często podlega on szkodliwym wpływom niskiej temperatury; podobnie ujemny wpływ wywierają wszelkiego rodzaju urazy kończyny dolnej, zawały krwawe, cierpienia kiszki i inne choroby wewnętrzne mogą powodować będące tu w mowie cierpienie i przez cały szereg lat je podtrzymywać.

Podobnie jak dwa powyżej dla przykładu wymienione, podobnie i inne nerwy czuciowe mogą być siedliskiem i punktem wyjścia nerwobólów, które sprawiają, iż cały systemat nerwowy staje się coraz bardziej wrażliwym, coraz skłonniejszym do zapadania na nowe cierpienia, podkopujące ogólny stan zdrowia. Łatwo zatem zrozumieć, że ważną rzeczą jest w samych początkach zażegnać zle, t. j. ból o ile możliwości jaknajprędzej usunąć. Przedewszystkiem tedy usunięte być muszą wszelkiego rodzaju szkodliwości, które, bądź-to uciskiem lub drażnieniem innego rodzaju wywołują ból.

Wyrwanie spróchniałego zęba może wyleczyć z nerwobólów twarżowych raz-na-zawsze, usunięcie np. nowotworu, uciskającego nerw kulszowy, bywa również bardzo często radykalnym środkiem przeciwko uporczywym scyatykom. Podobny cel czasami osiągnąć się daje w zupełnie inny sposób, mianowicie przez uregulowanie diety i w ogólności sposobu życia. Wydarza się, iż środek przeczyszczający, właściwie zastosowany, znosi odrazu i raz nazawsze nawet gwałtowne nerwobóle, które przez cały szereg lat opierały się działaniu różnorodnych środków lekarskich. Skuteczniemi wielce w podobnych razach okazują się wody ze źródeł maryenbadzkich. Niezawsze jednakże udaje się zbadać przyczynę nerwobólów i usunąć.

Wówczas zadaniem lekarza jest zastosowanie środków łagodzących ból, w celu zmniejszenia wrażliwości nerwowej. Cel ten staramy się osiągnąć przez stosowanie na skórę, w okolicy bolącego nerwa, środków odciągających. Gorczyczniki, wezykatorye, przyżegania rozpalonem żelazem, bańki, moksy: oto środki odciągające. Potężnym środkiem, który lekarze rzeczywiście z wielkim pożytkiem stosują w nerwobólach, jest elektryczność. Elektryczność, zastosowana właściwie, nie tylko łagodzi bóle chwilowo, lecz bardzo często leczy nerwobóle radykalnie, i to nawet w takich przypadkach, w których żadne inne metody leczenia nie sprowadziły poprawy. Podobnie skutecznie częstokroć działają kąpiele u wód gorących, takich jak Teplice w Czechach, Wildbad, Warmbrunn, Wiesbaden, Gastein itp. a także kąpiele słone, siarczane i błotne (*Moorbad*). Czasami, gdy pod działaniem ciepłych kąpiele nie następuje wyleczenie, odnieść można korzyść z kąpiele zimnych, z obmywania i nacierania zimną wodą. Leczenie hydropatyczne często zadziwiający wpływ wywiera, nawet w zastarzałych nerwobólach, zwłaszcza zaś w tych przypadkach, gdy są spowodowane przeziębieniem, a więc gdy idzie o zahartowanie skóry i uczynienie jej mniej wrażliwą na zmiany temperatury. Zimno zastosowane miejscowo, w postaci zimnych okładów, albo pęczcherza z lodem, wywiera znakomity wpływ na zmniejszenie wrażliwości nerwowej.

Często musimy uciekać się do środków, które posiadają tę własność, że; przeniknąwszy do krwi, łagodzą, lub w zupełności znoszą ból. Środki tego rodzaju znane są od najdawniejszych czasów a zastosowanie ich odbywa się zarówno zewnątrz-

nie jak i wewnętrznie. Wypada jednakże być wielce ostrożnym z używaniem środków narkotycznych tego rodzaju, jak opium i morfina. O ile bowiem posiadają onerzeczywiście własność łagodzenia bólu, o ile w pewnych przypadkach bywają nieuniknionymi—o tyle należy zawsze mieć w pamięci, że organizm człowieka z łatwością przyzwyczaja się do nich i wymaga stosowania coraz większych ilości, a to może spowodować zatrucie: charłactwo cielesne i umysłowe. Chwila, w której człowiek, dotknięty nerwobólem, po raz pierwszy zastrzykuje sobie pod skórę morfinę, decyduje często o całym jego przyszłym życiu; albowiem już później, gdy doznał raz uspokojenia skutkiem tego cudownego środka, ucieka się często do niego nie tylko w niezbędnej potrzebie, ale nawet w razie małych dolegliwości, w razie zmartwienia, zgryzoty, niepowodzenia, i w ten sposób stopniowo zatruwając organizm dochodzi do *przewlekłego zatrucia (Morphinismus)*, z którego niesłychanie trudno wyleczyć. A stan to okropny, zarówno pod względem cielesnym, jak i psychicznym. Człowiek utracą wszelką zdolność do pracy, wszelką odporność na przeciwności, utracą także apetyt i sen — słowem: staje się fizycznie i umysłowo ruiną. Podobny skutek wywiera przyzwyczajanie się do innych środków, takich jak kokaina, antipyrina itp. Dlatego też wszystkim, cierpiącym na nerwobóle, a takich, niestety, dziś z każdym dniem więcej, powtarzać należy jaknajczęściej przestrożę o szkodliwym wpływie narkotyków. Widzieliśmy powyżej, że istnieją inne środki, przy pomocy których można złagodzić nerwobóle albo sprowadzić zupełne wyleczenie, narkotyki zaś powinny być stosowane jedynie przez lekarzy i pod ich ścisłą kontrolą.

W ostatnich czasach przybył nam jeszcze jeden nowy potężny środek przeciwko nerwobólom—*mięsień (massaż)*. Środek ten szczególnie pomyślnie działa w nerwobólach, wywołanych przeziębieniem lub zawałami krwawymi, a skuteczność jego tem bywa większą im bolący nerw powierzchowniej się mieści. Sposoby mięśnienia są różnorodne, w wielu przypadkach zwyczajne głaskanie po skórze, prowadzone z dołu do góry przynosi już ulgę; kiedyindziej uciekać się przychodzi do gneczenia, nacierania, rąbania i t. p. W każdym razie, aby mięśnienie przyniosło owoce, powinno być umiejętnie i systematycznie stosowane; w przeciwnym razie tylko rozdrażni chorego, a nawet jeszcze wzmoże ból. W niektórych razach pożytecznie działa gymnastyka pokojowa; w innych znowu wypada zachowywać bezwzględny spokój, o czem tylko lekarz może wyrokować.

W rozpaczliwych przypadkach, gdy żadne z wyżej wymienionych środków nie pomagają, potrzeba poddać się operacji chirurgicznej, zasadzającej się na przecięciu dotkniętego nerwu, a tem samem na przerwaniu komunikacji między miejscem bolącym a mózgiem.

Najlepszym środkiem zapobiegającym nerwobólom, jako też i innym cierpieniom nerwowym, jest oszczędzanie siły nerwowej, a więc unikanie cielesnych i umysłowych wysiłków, higieniczny sposób życia: używanie w miarę ruchu, wypoczynek należyty po pracy, właściwe rozrywki, wreszcie hartowanie ciała, czynienie go odpornym na owe bodźce w takim stopniu, aby czucie nasze nie przeszło w czulostkowość, a wrażliwość nie stała się chorobliwym wydelikaceniem.

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą o zawiązaniu się w Saratowie stowarzyszenia niewieściego, które zapragnęło utworzyć klub z celem wyższego kształcenia uczestniczek. Szereg odczytów w rozmaitych gałęziach nauk, projekto-

wany jest jako środek. Statut stowarzyszenia już wypracowany, będzie wkrótce przedstawiony ministeryum spraw wewnętrznych do zatwierdzenia.

— Stałej komisji do spraw wykształcenia technicznego w Petersburgu przedstawionym zostanie wkrótce projekt wypracowania normalnego programu dla kobiecych szkół zawodowych.

— P. Joanna Dubicka donosi w *Kraju* o staraniach, czynionych w Rydze na rzecz ochrony, istniejącej tam już lat dziesięć, a którą przy współdziałaniu inteligencji, nielicznej wśród napływowej ludności: 11.000 katolików, zamieszkujących Rygę, podpięra Zarząd Dobroczynności gorliwie i umiejętnie, czemu też zawdzięczają się i zapisy, jakie w ostatnich latach zasilily Kasę Dobroczynną. Ochronka ta niezbędnie potrzebna dla wyrobników, rozrzuconych tu wśród ludności miejscowej, mającej przewagę dobrobytu, jest konieczną jako środek działalności, możliwie skutecznej. Jest też to życzeniem ludzi dobrej woli, aby zakres ochronki rozszerzył się i włączył w siebie szkołę dziewcząt, kształcąca je na robotnice fachowe, bo w czasach ogólnej u nas biedy — jak rozumnie pisze p. I. D. — praktyczne uzdolnienie się do pracy wnieść należy między wszystkie klasy społeczeństwa. Ale — dodaje korespondentka — jak w rodzinie ojciec nie może zastąpić dostatecznie córkom matki, tak i tu obok wytrawnego pedagoga oraz lekarza higienisty, znajdować się powinny wśród zarządu i kobiety, znane z tego, że we własnych swych rodzinach umieją kierować dobrze wychowaniem dzieci i zarządkiem domu, a to odpowiednio do potrzeb czasu i okoliczności życia rodziny. Ostatnią tę uwagę rozumnie na rzeczy patrzącej pani należałoby stosować do wszystkich opiekunek czynnych zakładów dobroczynnych, a szczególnie wychowawczych.

— W zakładzie naukowo-rękodzielniczym hr. Zyberg Platerówny rozpocznie się wkrótce nauka gospodarstwa miejskiego, które obejmie czas trzymiesięczny dla każdego kompletu, złożonego z 10 osób. Zadaniem tu jest obznajmienie uczennicy z całym zakresem gospodarstwa domowego w średnio zamożnej rodzinie i nauka obejmować będzie: Kupno materiałów spożywczych, sposób utrzymania w porządku naczyń kuchennych, kucharstwo, pranie, prasowanie bielizny, wypiek ciast, prowadzenie rachunków, urządzenie apteczki domowej.

— W końcu ubiegłego miesiąca odbyło się zamknięcie rocznego kursu w szkole kucharskiej, utrzymywanej przez Towarzystwo Ochrony Zdrowia. Ukończyło kurs całkowity uczennic 20.

— W Wiedniu, w *Bibliotece Polskiej*, która stanowi jedno z trzech stowarzyszeń polskich w tem mieście, p. Wyczółkowska miała odczyt o subiektywizmie kobiet. Prelegentka studyowała w Paryżu psychologią i filozofią; w odczycie swoim dotknęła i kwestyji samodzielności kobiecej, ale tylko wpadkowo.

— Założone w Krakowie w 1886 roku Kursa Dopełniające dla uczennic, które ukończyły szkołę wydziałową, dają uczennicy naukę średnią stopnia drugiego. Kurs jest dwuletni; podzielony na dwie klasy, mieści w programie swoim: a) obok wiadomości ogólnych z literatury powszechnej, literaturę polską i niemiecką, b) geografiam, c) historią nowszych czasów, d) historią sztuk pięknych, e) rysunki w połączeniu z nauką o stylach, f) wiadomości z pedagogiki, dydaktyki, higieny, o ile są one potrzebne kobiecie w rodzinie, matce do wychowania i kształcenia dzieci. Warunkiem przyjęcia jest ukończenie sześcioklasowej szkoły wydziałowej, lub zdanie egzaminu w zakresie nauki, udzielanej tamże. Przystęp do szkoły wydziałowej otwiera ukończenie pięcioklasowej szkoły ludowej, lub, egzamin odpowiedni, i to są stopnie, po których uczennica, postępując koleją, dochodzi do pozyskania sobie całokształtu wiedzy w zakresie nauki stopnia średniego, odpowiadającego gimnazyalnemu wykształceniu mężczyzny. Historią literatury wykladała tu D-r Hugon Zathay, dyrektor wyż. szkoły realnej; hist. liter. niemieckiej prof. tejże szkoły, Mieczysław Zaleski; hist. literatury francuskiej lektor uniwersytetu E. Ciechowski; geo-

grafią prof. uniw. D-r Fran. Schwarzenberg Czerny; historią prof. uniw. D-r Anatol Lewicki; historią powszechną prof. gimn. S-tej Anny, D-r August Sokołowski; historią sztuki prof. Uniw. X. D-r Stefan Pawlicki; pedagogią i higienę dyr. szkoły wydziałowej Antoni Gettlich. Rysunków udziela malarz Ludomir Benedyktowicz; wszyscy na obu kursach.

— Na wystawie w Monachium wystąpiły dwie nasze wystawczynie: Anna Bielińska nadesłała z Paryża portret kobiecy, a jakkolwiek znawcy wyżej cenią da wniejsze dzieła jej pendzla, także portret kobiety, nagrodzony na paryskiej wystawie w 1888 r., niemniej sprawozdania niemieckie nazywały Bielińską: *geniale Polin*. Drugie zaraz miejsce w ocenach znawców zajmowała także malarka nasza, Olga Boznańska.

— Wanda Szczawińska, warszawianka, studująca na uniwersytecie genewskim, otrzymała stopień doktora nauk przyrodniczych za rozprawę: „sur les yeux de quelques crustacés et les mouvements de leur pigment sous l'influence de la lumière et de l'obscurité“. Rozprawa drukowaną była następnie w wydawnictwie uniwersyteckim: „Les archives de biologie“.

— Ministeryum francuskie robót publicznych przyznało krzyż akademicki filantropce Goudin, której mąż, obecnie nieżyjący, założył był w miejscowości Guise zakład dobroczynny „familistère“. Żona dzieliła prace męża, obecnie wydaje pismo kobiece pod tytułem „Le devoir“.

— Angielska autorka M-rs Humphrey Ward wykończyła dzieło, które ma wyjść przed świętami *Bożego Narodzenia* i stanowić gwiazdkowe czytanie klas robotniczych. Treścią jego są dążenia do oświaty i podniesienia umysłowego klas pracujących. Pisma angielskie donoszą, że przykłady zebrane przez autorkę są wielce zajmujące.

— M-rs de Vere Matthew napisała i wydała w bardzo taniej edycji książkę również ze zwrotem na potrzeby klas pracujących, lecz w innym zupełnie kierunku: *Sto tanich potraw*, z których żadna nie przechodzi ceny jednego szylinga. W Anglii, gdzie młoda dziewczyna z tych klas ludowych, niemal od dziecka zajęta pracą na chleb, nie może nauczyć się gospodarstwa domowego, książka taka jest bardzo pożyteczną i uważać trzeba jej napisanie za czyn filantropijny, zwłaszcza, że cena książki jest oznaczona tak tylko, że pokrywa koszt wydania bez żadnego zysku dla autorki, która pragnie jedynie przyjsć z dobrą pomocą młodej gospodyni klas ludowych. Ze obecnie w Anglii całe rodziny robotnicze stołują się po nędznych, niezdrowych garkuchniach, lub żywią się przeważnie strawą suchą, przyczynia się to do rozpajania ludu, podkopuje zdrowie tych klas i rozkłada życie rodzinne przez zagaznienie w literalnym znaczeniu tego wyrazu do mowego ogniska.

— Urzędnicy kass oszczędności w departamencie angielskiego banku państwa zanieśli skargę do ministra skarbu przeciwko dopuszczaniu tu kobiet do urzędów, dowodząc, że uparte pchanie się kobiet w tym kierunku wyparowywa coraz w większych rozmiarach mężczyzn, co podkopuje układ towarzyski, na którym społeczeństwo opiera się obecnie, gdyż rzecz powtarza się w bardzo wielu gałęziach pracy urzędniczej w Anglii, tak w biurach rządowych, jak i prywatnych.

— Dom studentek w Oxfordzie: „Somerville Hall“, został znacznie rozszerzony w czasie tego-rocznych wakacji uniwersyteckich, przez przybudowanie oficyny, a to wskutek potrzeby wobec coraz to zwiększającej się liczby studentek.

— W Hiszpanii, w miejscowości Caratraca, w Andaluzji, umarła bardzo sędziwa bo 110 lat licząca kobieta, Alfonsa Marya Sedilla, która dowodziła niegdyś oddziałem gerylasów w wojnie o niepodległość Hiszpanii, toczonyj za Napoleona I z Francją. Po zawartym pokoju, mężna, gorącego serca kobieta wyszła za mąż, za dawnego towarzysza broni, który był rozgłośnie znany, jako jeden z najsmielszych przemysłowców pod panowaniem króla Józefa. Straż nadgraniczna i żandarmy musieli staczać z nim częste walki, w których kobieta brała czynny udział. Do bar-

dzo późnej starości okazywała wielką energią charakteru i namiętne przywiązanie do ziemi rodzinnej; nie chorowała nigdy i dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią zasłabła tak, że musiała leżeć lub spoczywać w fotelu. Przez wspomnienia przeszłości pogrzeb jej zgromadził wielką liczbę ludzi z wszelkich klas społeczeństwa, oddano jej trumnie, na którą królowa Krystyna przysłała wieniec, honory wojskowe, bo towarzyszył jej oddział milicji miejskiej, i grano marsza, który za czasów jej działalności rycerskiej był hymnem walecznych.

— Zuzanna la Flosch, młoda indyanka z pokolenia Omaha, odbyła studia medyczne w Filadelfii z celem praktykowania wśród rodzinnego swego pokolenia, co spełnia wiernie, z poświęceniem godnym szacunku, jaki też budzi. Wykształcona, przywykła do trybu ludzi cywilizowanych, wróciła pomiędzy swoich, za ledwo podniesionych cokolwiek nad dzikość pierwotną, aby poświęcać się, nie tylko jako lekarka, ale jako cywilizatorka, co każe jej żyć wśród lasów, mieszkając w domu bardzo zbliżonym do zwykłego wigwamu.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu zawiązało się towarzystwo hodowli ptaków pokojowych. Rozporządza ono kapitałem 30.000 rs.

— Akademia Petersburska obchodzi dwudziestopięcioletnie swego istnienia. Ustawa została zatwierdzona d. 26 listopada 1865 r.

— Antoni Waga, uczonego przyrodnik, b. profesor uniwersytetu, człowiek uczciwy, kochany i szanowany przez społeczeństwo, odszedł na od poczynek wieki. Urodzony 1799 r. w Puławach, gdzie ojciec jego zawiadywał ogrodami książąt Czartoryjskich, po ukończeniu w Warszawie szkół średnich wstąpił do uniwersytetu na wydział filozoficzny, który ukończył ze stopniem magistra filozofii. Następnie był nauczycielem historii naturalnej w szkole wojewódzkiej na Lesznie, później professorem w Liceum Warszawskim. Czas wolny od pracy zawodowej, poświęcał badaniom drobnowidzowem, studiom nad roślinami i owadami. Odbывая w tym celu wycieczki po kraju, zgromadził bogate zbiory nieznanych u nas okazów i zasłużył się społeczeństwu przez badania flory krajowej. Odbył on później w towarzystwie hr. Branickiego podróż na Wschód i do Afryki, z którą przywiózł bogate zbiory przyrodnicze. Zostały też po nim dzieła cenne, jako prace naukowe, a śmierć jego wywoła wspomnienia wszystkich tych zasług—usług, jakie świadczył społeczeństwu przez 91 lat pracowitego żywota. Katafalk, na którym spoczywało jego ciało w kościele Ś-go Aleksandra, otaczał gaj wspaniałych krzewów, przysyłanych z cieplarni hr. Branickiego we Frascati. Złożono też na trumnie, okrytej szkarłatnym sukniem, wiele wienców, a między temi: od redakcji *Wszelkich świat*, od redakcji *Pamiętnika Fizyograficznego*, „od rodziny Branickich“, „Staremu przyjacielowi“ od hr. Branickiego. Wiózł je czworokonna karawan, postępujący za trumną, którą ponieśli do grobu studenci uniwersytetu. Dzieła jego, obok wysokiej wartości naukowej, odznaczają się czystością i rzadką pięknnością języka.

— Rzeźbiarz Pyrowicz wykonał dwa modele aniołów, wysokie na trzy łokcie, według których odleje się z cynku ośm takich figur skrzydlatych, mających zdobić kościół *Wszelkich Świątych* na Grzybowie.

— Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, wobec zbliżającej się wystawy nasion, zbóż i traw, wszelkich roślin gospodarskich, nawozów pomocniczych i gospodarstwa domowego wiejskiego, mającej się odbyć w Lutym r. p., przypomina wystawcom, że czas do składania deklaracji rozpoczyna się z d. 1-go Grudnia. Wystawa trwać będzie dni piętnaście, miejsce na nie udzielone będzie bezpłatnie, a wszelkie okazy przedstawione kwalifikowane będą do odpowiednich nagród. Okazy nasion, wszelkich zbóż i traw polowych, ogrodowych i leśnych, przeznaczone do konkursu, mają być poddane przedtem badaniom *Stacyi Oczny nasion* więc powinny tam być przesłane najpóźniej do d. 22 stycznia 1891 r. (Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66). W czasie trwania wystawy Muzeum pośredniczyć będzie w sprzedaży i kupnie okazów, których próby znajdować się będą na wystawie.

— Redakcja *Ziarna* ogłosiła konkurs na oryginalnie napisaną nowelkę, obejmującą 1.000 do 1.500 wierszy druku, a która nigdy nie była drukowaną. Termin do nadsyłania prac oznaczony jest po dzień 1-go lutego 1891 r. Nagroda, oprócz zwykłego honorarium, rs. 100; komitet sędziów składają: pp. Czesław Jankowski, Kaz. Kaszewski, Jul. Łętowski, Adam Piąg, J. Sliwowski i z redakcji *Ziarna* J. Piotrowski. Z chwilą ukończenia druku utwór nagrodzony staje się własnością autora. Oprócz nagrody konkursowej zwykłe honorarium.

— Ludowa sztuka Galasiewicza „Ciarachy“, wystawiona będzie raz pierwszy w przyszłą sobotę i w niedzielę.

— Nakładowa księgarnia p. Paprockiego, wydała tom poezji: „Wspomnienie Tatrów z marzeń o szarej godzinie.“ Kazimierza Glińskiego, oraz przekład z czeskiego, przez I. Nitowskiego: „Wycieczki pana Brunczka, przez Świętopelka Czecha“ i przekład z angielskiego I. Prażmowskiej: „Jak znaleźć szczęście nawet w małżeństwie.“

— Ukazało się już kilka książek kalendarzowych dla dzieci i młodzieży. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły: „Opowiadanie ciotki Ludmiły o ludziach i rzeczach dawnych“ przez Teresę Jadwigę z ilustracjami J. Maszyńskiego. „Przygody młodych podróżników“ opowiadała dziatwie M. I. Zaleska — z rycinami Wład. Podkowińskiego. „Kopalnie króla Salomona“ — przekład z angielskiego z rycinami. Oraz przedruki: „Opisy i Przygody z podróży po różnych częściach świata“ nieodżałowanej pamięci pisarza dla ludzi i dzieci, Wł. Anczyca, wydanie trzecie i także sympatycznego a niezwykłego już pisarza J. Chęcińskiego „Zabawki dla młodszej dziatwy“ z sześciu kolorowanymi tablicami, wydanie trzecie.

— Kalendarz Promyka: „Gość“ jest już rok jedenasty prawdziwym promykiem wiedzy dla wiejskiego ludu. Tegoroczny zawiera wiele rzeczy dla ludu ciekawych, objaśnienia zjawisk przyrody, wiadomości z geografii, powiastki, wierszyki, przegląd gospodarczy, życiorysy zasłużonych społeczeństwu osobistości, Gregorowicza, Kolberga. Jest to najlepszy noworoczny podarek, jaki może być dla czytelników wiejskich.

— Wystawa szkiców w Salonie artystycznym na Nowym Świecie mieści dużo okazów artystycznych, z których wiele odznacza się prawdziwą wartością. Ceny niewygórowane uprzystępniają ich nabycie.

— Portret Sienkiewicza, malowany przez Pochwańskiego, wystawiony w salonie Krywulcia ściągają widzów. Znajduje się tam portret s. p. Artura Potockiego pendzla Matejki i między innymi fantastyczna kompozycja Witolda Pruszyńskiego „Planetnik“.

— W Wiedniu ma być urządzona wystawa malarzy naszych. We Lwowie otwarta w lokalu Towarzystwa Sztuk Pięknych wystawa szkiców, liczy około 300 utworów pendzla i rzeźby. Fałat nadsyła tam z Berlina akwarelle swoje, z Krakowa nadejdzie na wystawę Towarzystwa obraz Mackarta: „Bachus i Aryadna“.

— Modrzejowska skończyła w d. 2 Grudnia występy swe we Lwowie i wystąpi, jak zapowiadają dzienniki, d. 3 Grudnia w Krakowie. Bilety zostały tak naprzód rozkupione, że osoby zgłaszające się z okolic Krakowa już ich dostać nie mogły.

— W Berlinie krążą się o urządzenie teatru amatorskiego na którym przedstawienia mają się rozpocząć od sztuk Fredry. Na pierwsze przedstawienie wybrano „Pana Jowialskiego“. Za lat kilka, bo w r. 1893, przypadnie stuletnia rocznica urodzin Fredry (ojca).

— Pięćdziesięciolecie jubileuszowe założenia w Poznaniu *Towarzystwa Pomocy Naukowej* obchodzone będzie w tymże mieście d. 20 Kwietnia. Najpierw mszą żałobną w kościele Ś-go Wojciecha za spokój duszy D-ra Karola Marcinkowskiego, który był założycielem tej instytucji. Na drugi dzień odbędzie się nabożeństwo dziękczynne za trwanie dotąd pożytecznego zakładu, a następnie posiedzenie jubileuszowe połączone z walnem zebraniem członków. Zarząd poznańskiego *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* ogłasza rezultaty dwóch konkursów z zapisu s. p. Bredkrajca na temata: I-o „Pieśń kościelna używana po kościołach od najdawniejszych czasów aż do końca XVI w., II-o „Żywot i pisma ks. Stanisława Grochowskiego. Przyznało nagrodę (900 marek) D-r Mikołajowi Bobowskiemu z Gołuchowa pod Bogusławiem i Adamowi Belcikowskiemu z Krakowa.

— Emigracja do Brazylii ludności tamtych okolic jest bardzo silna. Blisko 200 emigrantów przejeżdża dziennie przez Toruń.

— W Peplinie w Prussach Zachodnich zawiązało się towarzystwo działające przeciwko emigracji, oraz inne przeciw socyalizmowi. Do tego ostatniego przystąpiło zaraz 150 osób, na czele stoi ksiądz, pleban z okolicy.

— W Bytomiu, na Szlaku proponowano drukarzom polskimi wydawanie pisma socyalistycznego, ale odmówili mimo bardzo korzystnych warunków.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevenson, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Jak można być szczęśliwym nawet w małżeństwie. — Hrywda. Powieść przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Nowiny Paryżkie (dok.) — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej, przez Dr. Józefa Starkmana. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevenson, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 38 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

PRZEGLĄD MÓD.

Sukno. — Suknie w magazynie „au printemps.“ — Galony i ozdoby z pereł i kamieni. — Haftarnia p. Bobrowskiej. — Kolory. — Kombinacje kolorów w materyach. — Pióra na sukniach i w fabryce p. Hałaczkiwicz. — Pranie białych futer, baranków i t. p. — Pracownia p. Konopackiej żony malarza.

Słusznie zupełnie sukno tak bardzo jest przyjęte na zimowe wizytowe suknie, bo też sukna naturalnie francuzkie, tegorocznego sezonu są tak miękkie, jakby ciągnąca się skórka szwedzkich vel duńskich rękawiczek, jest to materiał tak dobrze nadający się do owych staników bez szwu, tak jest bez szwu przedniego i tylnego, tylko w bocznych połączonych. Widzieliśmy taką suknię z jasno-miedzianego koloru sukna (materiał od p. Heurich) w magazynie „au printemps“ spódnica cała z jednego kawała ukośnego ślicznie się drapowała, stanik w pasie kilkakrotnie przemarszczony otaczał pod zmarszczeniem galon złoty kamieniami zdobny, takież ozdobił otwór od ramienia do boczku, gdzie się tajemniczo stanik zapinał jak wszystkie staniki dzisiejsze. Rękawy, ach! te rękawy, w których fantazyja dziś tak wielką gra rolę aż do nieskończoności, co spojrzysz inne, a coraz to ładniejsze. Druga suknia była w stylu staro-germańskim bladuróżowa „faille.“ Stanik wycięty w kwadrat, podłożony białą materyą haftowaną złotem i perłami, rękawy z wielkimi bufkami w górze, u ręki rękaw wązki bardzo długi, haftowany odpowiednio. Spódnica w dole 3 razy naszyta wstawką i podniesiona na drugiej białej, otoczonej riuszą różową. Stanik w pasie okolony paskiem z pereł i złota, całość przypominała „genre bisantique.“ Inna jeszcze sukienka „bleue Eddison“ gładka, długa to jest powłóczysta, miała zakietkę à la Louis XV, długą, haftowaną złotem, białą, jedwabną długą kamizelka dopełniała i stylu i całości rzadkiej elegancji. Była to wyprawa, którą dopełniały śliczne szlafrociki: jeden czarny z przodem ponsowym, rękawy wązkie długie, całe fałdowane ponsowe, a drugie greckie podszyte ponsowym. Pani Grabczewska przeważnie sama się zajmuje magazynem a robota wychodzi z pod jej ręki bardzo starannie i dokładnie. Galony i wszelkie koronki jedwabne przerabiane złotem, bąbelkami, blaszkami do ozdoby sukien są tak bardzo używane, że znana haftarnia panny Bobrowskiej, Czysta 2, nie mogąc podołać obstalunkom kosztownych haftów, które jak wiemy, tylko z paryzkimi rywalizować mogą, sprowadziła z Paryża mnóstwo rozmaitych ozdób złożonych i takowe na łokcie sprzedaje. Śliczny był galon złoty

w kwiaty z kamieniami, druga koronka czarna pasmanteryjna, naszywana rozmaitemi blaszkami z perłowej masy, srebra, złota i stali. Owe paljarki czyli blaszki z perłowej masy różnych odcienn są w tej chwili stanowczo wielką nowością, któremi naszywa się hafty, koronki i t. p., na przykład śliczną była złota koronka z wisiorkami z białych drobnych pereł zakończonemi kolorowemi niebieskimi. Dalej był gorset czyli pasek szwajcarski na białym kaszmirze cały kamieniami wyszywany, lub plastron na białym atlasie wysyty cały stalowemi perelkami. Prześliczne były ozdoby do aksamitnego ciemnego, koloru wydry okrycia obstalowane przez pana Herzego, haftowane złotą nitką i takiemiż blaszkami — wzór i forma tych ozdób była zaiste godną wykwintnego gustu pana Herzego i pracowni panny Bobrowskiej. W perelkach i ozdobach dla tego przeważa kolor niebieski, że dziś kolor ten zwany „lobelja“ liczy się do najmodniejszych, a po prostu jest to niebieski, znany pod nazwą „bleue de France“ przypominający liberyą niebieską, ale co moda to moda, więc musi być ładny, może to z powinowactwa z nowym rodzajem malowania czyli nakładania farb, którego całą szkołę widzieliśmy oddzielnie wystawioną na wystawie pana

Krywulka. Szkocka krata nie jest już nowością, nosi się, jeżeli ktoś ma kostium do znoszenia, ale do nowości głównie należą gładkie materyały. Jedwabie przygotowane na tegoroczny sezon zimowy także różnią się deseniem zupełnie od zeszłorocznych, nie ma mowy o kwiatkach, bukietach, za to głównie na tle atlasowem grochy, całe grona kawy, gzygzaki, płomienie, rzuciki owalne, migdały i t. p., a kombinacje kolorów w materyach są następujące: kolor piaskowy na czarnem tle, deseń różowy na niebieskiem, kolor malwy na zielonem, żółty na granatowem lub czarnem. Jeszcze przed świętami obejrzymy te nowe rzeczy u pana Makowskiego i zdamy z nich sprawozdanie, co u nas jest i poczem, bo co paryzkie to drogie być musi.

Nie mamy pojęcia co za masa piór zdobi w Paryżu suknie wizytowe i toalety wieczorowe, całe suknie a szczególnie dół sukni są niemi naszyte. Przód sukni w ukos, dół, obszyte zakiety, na staniku naszywają się w formie szelek, kołnierze „à la Médicis“ podszywają się wewnątrz. Śliczną suknię widzieliśmy w magazynie pana Herzego z czarnego brokartu, bryt przedni z białego atlasu tworzył „tablier“, w dole na białym atlasie był haftowany szlak złotem (w haftarni p. Bobrowskiej),

a szeroki obręb pod szlakiem zawsze na białym atlasie pokrywały gęsto naszyte czarne strusie pióra. Cała suknia była odpowiednio przybrana. Stosując się do mody pani Hałaczkiwicz, fabryka piór na Tłomackiem przywiozła z Paryża takie miriady piór strusich głównie, we wszystkich odcieniach, że każdy do każdego koloru sobie dobrać może co zechce, czy to pojedynczo, czy na łokcie, czy jako fantazyę, czy ozdobę kapelusza lub głowy. a za zasługę mamy pani Hałaczkiwicz, że pomimo mody, pióra w jej fabryce nie są wcale wygórowanych cen; — a co! nie mówiam, że ta śliczna ozdoba południowych stref ptaka nie może wyjść z mody, a w pralni Geberów jak umieją przerabiać lub farbować stare pióra na nowe — proszę pójść się przekonać; a owe kozy syberyjskie białe, które mi podszywają się rotundy, a czapeczki białe barankowe, no, wszystko to jak nowe wychodzi z tej pierwszej u nas pralni, i doprawdy nie warto się męczyć prac je w domu, choćby podług moich sposobów umieszczonych w broszurze: „Co chcesz wyczyścić,“ bo nigdy przenigdy tak świetne jak nowe nie będą.

Na ciągle zapytania o tanie pracownię, muszę polecić nowo-założoną pani Władysławy Konopackiej przy ulicy Marszałkowskiej, Nr 129 mies. Nr 12, która będąc żoną malarza niemogącego zarobkować, wykształcona najkompletniej w swym fachu z swej pracy utrzymuje całą rodzinę.

L. C.



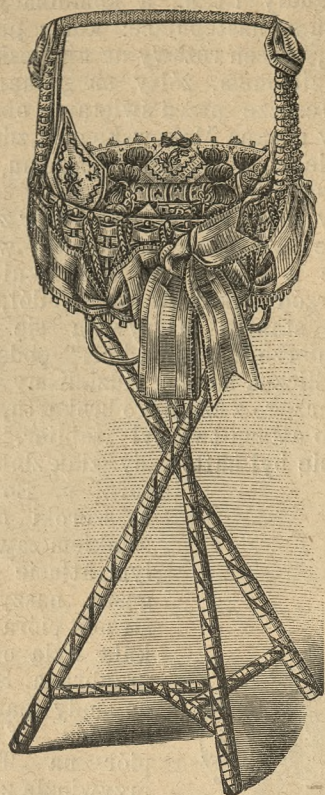
Nr 1. Suknia z bengaliny i brokatu. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 2. Suknia z kaszmiru. (Kr. i op. odwr. str. tabl. 5 Nr X, fig. 41 — 49.)

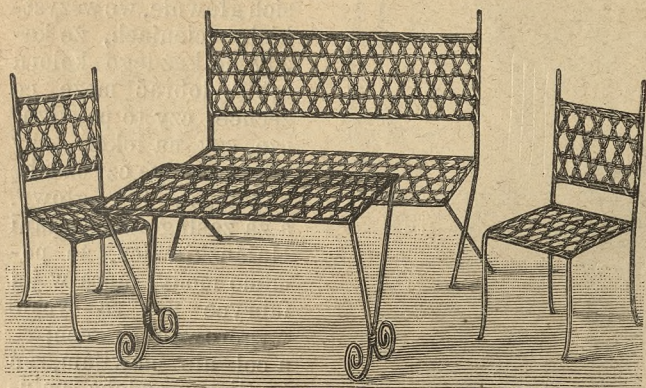
Paletot dla chłopczyka od 9—11 lat.

Rycina Nr 10 i 11 w Bl. Nr 48. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 21—27).

Plaszczyk ten może być noszony zarówno z peleryną, jak i bez tejże, wykonany z szewjotu w kraty koloru popielatego. Skrajać fig. 21, 23 i 26 po dwie części, podług fig. 22, 24 i 27 po jednej części złożonej wzdłuż środka, należy fig. 21 i 22 stosownie do potrzeby przydłużyć w kierunku



Nr 7. Postumencik z rozpoczętymi robotami dla dzieci.



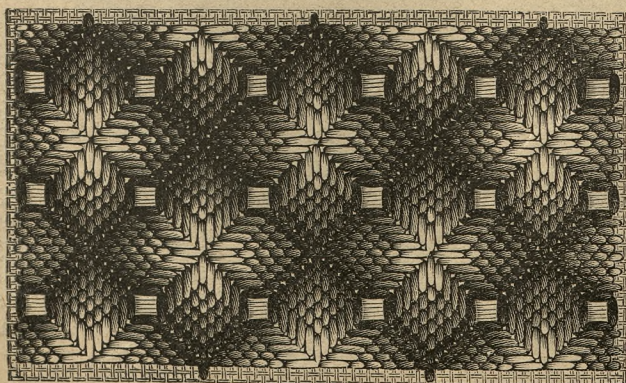
Nr 8. Meble dla lalki. (Robota szydełkowa).

ku strzałki. Podług fig. 25 skrajać rękawy z uwzględnieniem konturów spodniej części. W lewej przedniej części wykonać dwa nacięcia, w prawej tylko dolne i wszyć w takowe kieszenie wykończając kłapeczkami 2½ cen. szer. Wykonać fałdę u wycięcia szyi. Część wewnętrzną przedniego brzegu obszyć na 14 c. materiałem i zaopatrzyć podkładem. W tylnej części wykonać nacięcie, prawy brzeg tegoż zaopatrzyć listwą 3 c. szer. Przyszyć pasek podług ryc. Wszyć kołnierz od 49 do 50, wykonać dziurki i przyszyć guziki. Pelerynę zeszyć podług cyfr i znaków. Rękawy zaopatrzone podszewką wszyć, trafiając w 54 na 54 przednich części.

Stanik do sukni wieczorowej dla młodej osoby.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 48.

Stanik w rodzaju



Nr 14. Desenik na pantofle, poduszki itp. ścieg płaski).

gorsecika, zapinany z boku, wykonany z bengali-ny koloru „aubergine.“ Górną część stanowi rodzaj bluzki z „crêpe de chine“ koloru białego z szlakiem haftowanym złotem. Pióra strusie koloru „aubergine“ oraz repsowe wstążki wykończają całość.

Kapelusz z filcu i aksamitu.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 48.

Kapelusz okrągły z filcu koloru czarnego. Rondko obszyte wewnątrz czarnym jedwabnym drucikiem, główka ułożona bufiasto z aksamitu koloru żółtego „aubergine“ i przybrany bukietami tegoż koloru kwiatów.

Kapelusz z filcu.

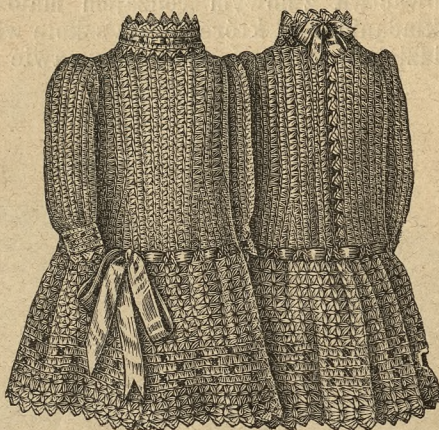
Rycina Nr 15 w Bl. Nr 48.

Kapelusz z filcu koloru piaskowego z brzegiem włochatym, przybrany aksamitem koloru zielonego i fantazyjnymi piórkami ułożonymi w kształcie motyla.

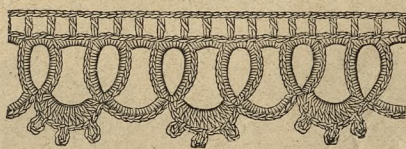
Żabot z krepy i wstążki.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 48.

Żabot złożony z części białej krepy 16 c. szer. objętej listwą z materiału jedwabnego i z drugiej



Nr 3 i 4. Sukienka dla lalki. (Robota szydełkowa). Krój pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 39 i 40.



Nr 9. Koronka do bielizny. (Robota szydełkowa).



Nr 13. Parawanik dla lalki.

takiej samej części ozdobionej haftowanym szlakiem, ułożonych podług ryc. na pasku muslinowym 36 c. długim.

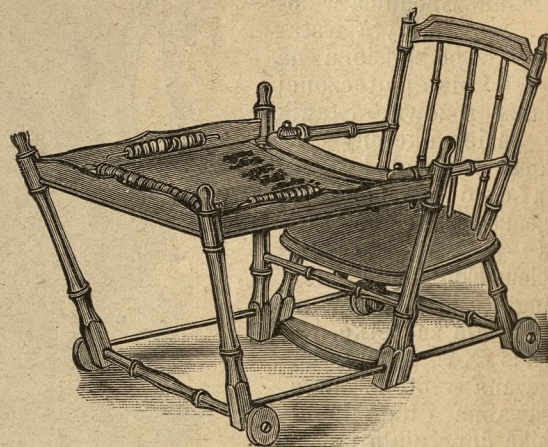
Riusza na szyję z krepy i wstążki.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 48.

Riusza do sukni wyciętej szpiczasto, ułożona na



Nr 5 i 6. Lalka i krzeselko. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 74—76).



Nr 10. Krzesło z zastawką dla lalki (do ryc. Nr 5 i 6).

wstążce jedwabnej repsowej 6 c. szer. koloru białego. Krepa ułożona w kontrafałdy i obszyta materiałem jedwabnym podług ryc. Kokardy ze wstążki 4 c. szer. wykończają całość.

Kołnierz z mulu i koronki.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 48.

Kołnierz wykonany z mulu i koronki haftowanej w zęby szpiczaste 10 c. szer. Zęby te aplikują się na mulu, który następnie wyciąć. Wstążka repsowa 3 c. szer. wykończy całość.

Przybranie na szyję ze szneli i złotego sznurka.

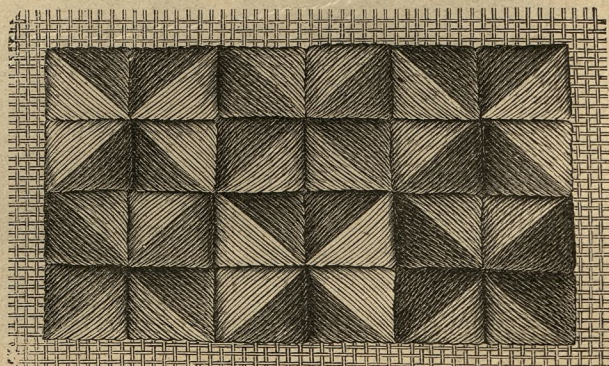
Rycina Nr 19 w Bl. Nr 48.

Szlak z niebieskiego koloru szneli i złotego sznurka 5 cent. szer. a 45 c. długi. Związanie z niebieskiej atlasowej wstążki 2½ cen. szer.

Toczek z aksamitu.

Ryc. Nr 21 w Bl. Nr 48.

Toczek z czarnego aksamitu na formę z petynki, otoczony pasmante-



Nr 15. Desenik na pantofle, poduszki itp. (ścieg płaski).

ryą ze złotego sznurka, przybra-
ny w tylnej części sześcioma piór-
kami strusiemi.

Toczek z aksmitu.

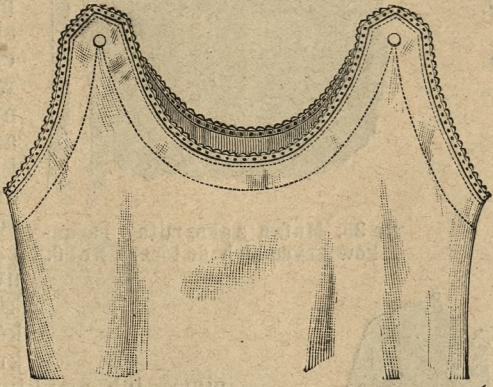
Rycina Nr 22 w Bl. Nr 48.

Toczek na foremce z petynet-
ki. Część zewnętrzna pokryta
pluszem czarnym skrajany uko-
śno. Główka z aksmitu koloru
„chaudron“ ułożona w fałdy.
Wstążka czarna repsowa 6 cent.
szer. wykończa
całość podług ry-
ciny.

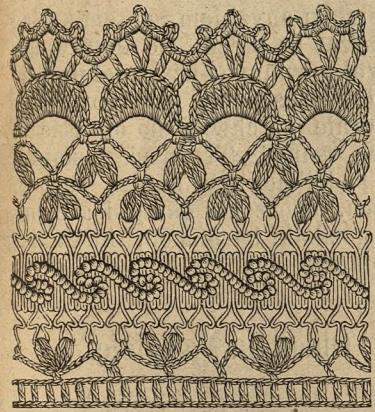
Suknia z pele- rynką dla mło- dej osoby.

Rycina Nr 25 w Bl.
Nr 48. (Krój pierw.
str. tabl. Nr IV, fig.
28—31).

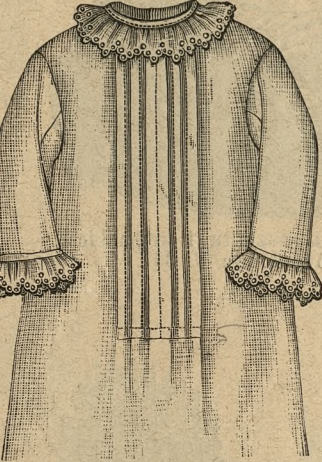
Suknia z po-
peliny w szkocką
kratę koloru
ponsowego i z te-
goż koloru su-



Nr 19. Koszula dla panienci od 8—11 lat.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 69).



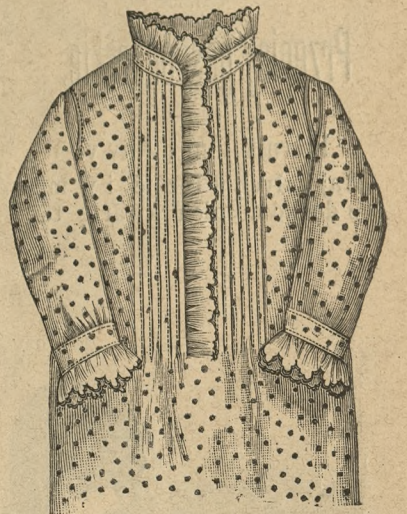
Nr 21. Koronka (tkana tasiemka
i robota szydełkowa).



Nr 22. Nocna koszula dla dzieci
od 3—5 lat. (Kr. i op. pierw. str.
tabl. Nr V, fig. 30—32).



Nr 23 i 24. Majtki dla panienci od 3—5 lat. (Krój
i opis pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 37 i odwr. str.
tabl. Nr. XV, fig. 68).



Nr 25. Koszula dla panienci od
6—8 lat. (Kr. i op. odwr. str. tabl.
Nr XIV, fig. 63—67).



Nr 26. Spódnica dla panienci
od 7—9 lat.



Nr 28. Suknia z szewjotu
w kraty (do ryciny Nr 16
w Bl. Nr 50). (Krój i opis
pierw. str. tabl.).



Nr 30. Suknia z welwetu i sukna (do ryc. Nr 29).



Nr 29. Suknia z welwetu
i sukna (do ryc. Nr 30).



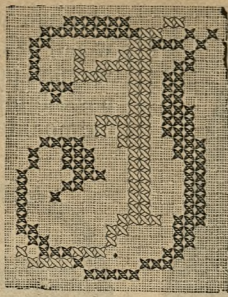
Nr 27. Spódnica dla panienci od
2—4 lat. (Opis pierw. str. tabl.).

gwiazdki z sukna, zaopatrzone w duże i małe
dziurki i takowe moco-
wać włóczką na tkaninie
kanwowej jak wskazuje
ryc. Nr 36. Wykonywać
to rzędami jeden za dru-
gim odpowiednio do kol-
orów wskazanych na
ryc. Nr 37. Po wykoń-
czeniu pokryć tem po-
duszkę, której brzegi
przybrać pluszem fałdo-
wanym a część spodnią
pokryć skórą. Na poduszkę wielkości 43 cent.
w kwadrat należy wykonać mniej więcej 250
gwiazdek (ryc. 29) z odpowiednich do deseni
kolorów sukna. Każdy desień na robotę krzyżową
może być w tym celu użyty.

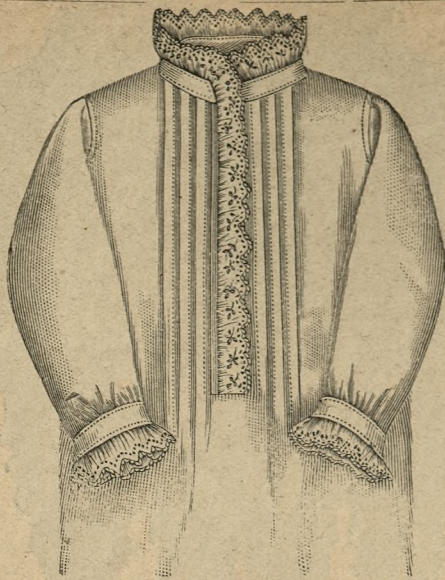
Gospodarski woreczek siatkowy.

Rycina Nr 32 w Bl. Nr 48.

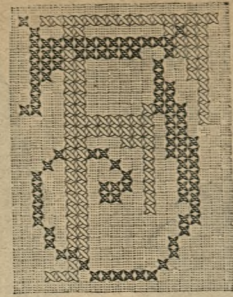
Zwyczajnym sposobem wykonany woreczek
z cienkiego szpagatu, zaopatrzony w klamerkę
z drutu mosiężnego. Wierzchnia część pokryta
podług ryc. lnianą tkaniną ozdobioną haftem wy-
konanym ponsową bawełną i otoczoną tegoż ko-
loru wełnianą pletnią.



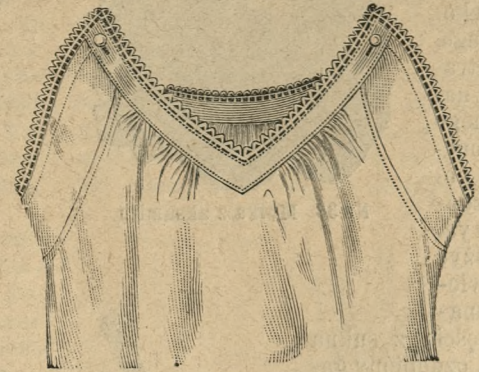
Nr 16. Monogram.
(Ścieg krzyżowy).



Nr 18. Nocna koszula dla panienci od
11—13 lat. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr
XII, fig. 55—59).



Nr 17. Monogram.
(Ścieg krzyżowy).



Nr 20. Koszula dla panienci od 5—7 lat.
(Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 33—36).

Worek na nogi ozdobiony haftem.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 48.

Wierzchnia część ozdobiona
haftem wykonanym różnokoloro-
wymi kordonkami na białym koloru
oliwkowego, ściegiem płaskim,
gałązkowym i pocztowym. Otwór
otoczony opasami i wewnątrz zaop-
atrzone futrem.

Poduszka pod nogi.

Rycina Nr 29, 31,
36 i 37 w Bl. Nr
48.

Nowy ro-
dzaj roboty
tak zwany
„imitacja
smyrna.“ W
tym celu wy-
konać podług
ryc. Nr 29

Suknia spacerowa z sukna z obłożeniem z piór.

Rycina Nr 24 w Bl. Nr 48.

Spódnica z kaftanikiem z sukna koloru grana-
towego, przybrana podług ryc. i obłożeniem z piór
koloru czarnego.

Suknia z koziej wełny.

Rycina Nr 33 w Bl. Nr 48 (do ryc. Nr 18 w Bl. Nr 47).
Kr. pierw. str. tabl. fig. I.

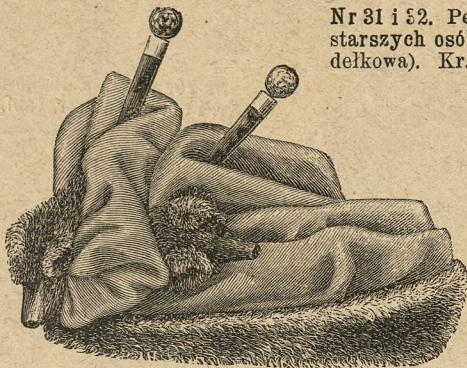
Suknia z materiału wełnianego włochatego. Spódnica z podszewki 216 c. obwodu. Wierzchnią część skrajając podług fig I w kierunku ukośnym. W prawej połowie wykonać wzdłuż podwójnej linii dolne nacięcie, którego brzezi na 20 cent. podszyc sukna koloru piaskowego, ułożyć w kontrafałdę. Wzdłuż nacięcia oraz dolnego brzezi występnować i nacięcie podług ryc. przyozdobić pasmanterią. Górny brzeg ułożyć w fałdy odpowiednio do liter i znaków. Stanik częścią z sukna częścią z wełny, ozdobiony galonikiem z pasmanterii.



Nr 33. Mufka z aksamitu.



Nr 31 i 32. Peleryna chusteczkowa dla starszych osób. (Robota drutowa i szydełkowa). Kr. pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 38.



Nr 34. Kapelusz z materiału wełnianego ozdobiony futrem.



Nr 36. Toczek z aksamitu i krymskich baranków (do ryc. Nr 35).



Nr 35. Mufka z aksamitu i baranków krymskich do toczka Nr 36.

pionego miodu, potażu 4 łyty rozmozonego w pół szklance piwa precedzić w to, korzeni wsypać pełną łyżeczkę od kawy, mąki pszennej pośledniej czubate pół garnca. To wszystko jak najmocniej wyrobić, żeby nie było krulek i wylać na blachę z kantami wyłożoną papierem wysmarowanym dobrze niesłoniem masłem, ciasta tego leje się ¼ część do formy; żeby się w piecu nie przypalało piecze się po razowym chlebie, wsunawszy w piec na godzinę nie trzeba ruszać aż dobrze wyrosnie i potem trochę opadnie. Próbować słomką czy dopieczony, przestudzony krajać w kawałki upodobanej wielkości i lukrować lukrem czekoladowym, lub zwykłym czystym, posypując cokolwiek anyżkiem, można także przed upieczeniem posypać z wierzchu anyżkiem, potem krajać i obsuszać na piecu. Do lukrowania pierwszej powinny być zupełnie kawałki wysuszone, polukrowawszy powtórnie na chwilę do obsuszenia w piec wsunąć. Trzymać w słojach lub pudełkach w bardzo suchym miejscu. Korzenie biorą się: cynamon, goździki kardemon, kilka ziarek białego pieprzu.

L. C.

Przepisy gospodarskie.

Piernik tani i łatwy.

Jaj całych 4 rozbić i w miejsce dodać do nich kwartę to-

Obiad na Niedzielę.

1. Purée ze zwierzyny (z przodków zajęczych).
2. Krokiety z mózdzku.
3. Potrawa z kury z pieczarkami.
4. Cielęcina z sałatą z kapusty.
5. Torek jabłkowy w francuzkiem cieście.



Nr 37. Chusteczka z haftowanego szlaku.



Nr 38 i 39. Szkockie ubranie dla chłopczyka od 3—5 lat. Krój i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—26.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przysłym numerze Bluszczu podać się mających.

OGŁOSZENIE.

Koleśa dla gospodyń. Kalendarz na rok 1891 (rok 16-ty), przez autorkę 365 obiadów i innych dzieł. Cena kop. 50.

Nr 40. Płaszcz podbity futrem. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 50—54).

Nr 41. Płaszcz podbity futrem.

Доволено Цензурою. Варшава, 21 Ноября 1890 г.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.